W numerze: Sprawy wydawnicze

Cena 15 zł. 12 stron

KUŹNICA

Rok III Łódź, 10 czerwca 1947 r. Nr 23 (92)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„Tworzenie demokracji przez samo społeczeństwo, tworzenie jej istoty, jej sił wewnętrznych jest to zarazem uzdrowienie życia i wyzwolenie moralne ludzi".

Edward Abramowski

TREŚĆ NUMERU:

JERZY PLECHANOW — **O ROLI JEDNOSTKI W HISTORII**
KAZIMIERZ BUDZYK — **O PAŃSTWOWY PLAN WYDAWNICZY**
ADAM BROMBERG — **STO TYSIĘCY STRON**
RYSZARD MATUSZEWSKI — **PO WIZYCIE PISARZY CZESKICH I SŁOWACKICH**
KAZIMIERZ BRANDYS **SAMSON (III)**
MARIUSZ MARGAL — **PŁYNIE RZEKA CZERWONA PRZEZ HANOI**
ZDZISŁAW HIEROWSKI — **KŁOPOTY CZY BŁĘDY RADIOFONII POLSKIEJ**
ROMAN BRATNY —
STANISŁAW WYGODZKI — **WIERSZE**
JULIA HARTWIG — **KRONIKA FRANCUSKA**
STEFAN OTWINOWSKI — **W KRAKOWIE (LIST DWUDZIESTY)**
KANDYD — **TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK**
PRZEGLĄD PRASY
NOTY

JERZY PLECHANOW

O ROLI JEDNOSTKI W HISTORII

Jerzy Plechanow, wybitny marksista rosyjski, żył w latach 1856 — 1918. Twórca pierwszej grupy marksistowskiej w Rosji teoretyk marksizmu, posiadał Plechanow ogromne znaczenie dla rozwoju ideologii proletariackiej w skali międzynarodowej. Na wczesnych pracach Plechanowa: „Socjalizm i walka polityczna", „Nasze różnice poglądów"; „O monistycznym poglądzie na historię" itd. kształciły się całe pokolenia marksistów w Rosji i zagranicą. Od 1903 r. Plechanow zaczął zajmować oportunistyczne stanowisko w polityce. Nie umniejsza to jednak teoretycznego znaczenia jego prac marksistowskich, które po dziś dzień zachowały swą aktualność. Do ich rzędu należy również broszura „O roli jednostki w historii", opublikowana po raz pierwszy w r. 1898. Pierwsze polskie tłumaczenie tej broszury, stanowiącej poważny wkład teoretyczny w socjologie marksistowską, ukazało się ostatnio nakładem „Książki". Niżej przedrukowujemy fragmenty tej ciekawej pracy Plechanowa. a. s.

Jerzy Plechanow

W STYCZNIU 1826 roku Sainte - Beuve pisał w „Globe" z okazji ukazania się piątego i szóstego tomu „Historii rewolucji francuskiej" Thiersa: „w każdej określonej chwili człowiek może nagłą decyzją swej woli wprowadzić do biegu wydarzeń nową, nieoczekiwaną i zmienną siłę, która może temu biegowi nadać inny kierunek, sama jednak jest nieobliczalna wskutek swej zmienności".

Nie należy sądzić, że Saint-Beuve mniemał, by „nagle decyzje ludzkiej woli" powstawały bez jakiejkolwiek przyczyny. Nie, to byłoby zbyt naiwne. Twierdził on tylko, że umysłowe i moralne cechy człowieka odgrywającego mniej lub bardziej wybitną rolę w życiu społecznym, jego zdolności, wiedza, stanowczość lub niezdecydowanie, odwaga lub tchórzostwo itd. itd. nie mogą pozostać bez widocznego wpływu na bieg i wynik wydarzeń — tymczasem zaś te cechy dają się wytłumaczyć nie tylko przez ogólne prawa rozwoju narodowego: te cechy powstają zawsze i w znacznym stopniu pod wpływem tego, co nazwać można przypadkowościami prywatnego życia. Przytoczymy kilka przykładów w celu objaśnienia tej i tak zresztą jasnej myśli.

W wojnie o sukcesję austriacką wojska francuskie odniosły kilka świetnych zwycięstw i Francja, zdawało się, mogła uzyskać od Austrii odstąpienie dość obszernego terytorium w dzisiejszej Belgii; jednak Ludwik XV nie żądał tego ustępstwa, gdyż według jego własnych słów prowadził on wojnę jako król, a nie jako kupiec, i pokój akwizgrański nic nie dał Francuzom. Gdyby jednak Ludwik XV miał inny charakter, wówczas, być może, powiększyłoby się terytorium Francji, wskutek czego bieg jej ekonomicznego i politycznego rozwoju byłby nieco inny.

Wojnę siedmioletnią, jak wiadomo, Francja prowadziła już w sojuszu z Austrią. Twierdzą, że ten sojusz zawarto przy czynnym udziale madame Pompadour, której szczególnie pochlebiało to, że w liście do niej dumna Maria Teresa nazwała ją swą kuzynką czy też swa drogą przyjaciółką (bien bonne amie). Można powiedzieć, że gdyby Ludwik XV był człowiekiem bardziej surowych obyczajów lub też, gdyby był mniej podatny na wpływy swych faworytek, madame Pompadour nie posiadłaby takiego wpływu na bieg wydarzeń, które potoczyłyby się w innym kierunku.

Dalej: wojna siedmioletnia była niepomyślna dla Francji; jej generałowie ponieśli kilka nader sromotnych klęsk. W ogóle zachowali się nad wyraz „dziwnie". Richelieu trudnił się rabunkiem, zaś Soubise i Broglie stale zawadzali sobie wzajemnie. A więc, kiedy Broglie atakował nieprzyjaciela pod Fillinthausen, Soubise, mimo, że słyszał huk armat, nie poszedł towarzyszowi na pomoc, jak to było umówione i jak niewątpliwie winien był uczynić, i Broglie był zmuszony do odwrotu. Nader nieudolny Soubise był protegowanym madame Pompadour. Można więc znowu powiedzieć: gdyby Ludwik XV był mniej kochliwy lub gdyby jego faworytka nie wtrącała się do polityki, wydarzenia nie złożyłyby się tak niepomyślnie dla Francji.

Historycy francuscy twierdzą, że Francja wcale nie musiała wojować na kontynencie europejskim, lecz winna była skierować wszystkie swe wysiłki na morze, by obronić swe kolonie przed zakusami Anglii. Jeżeli zaś postąpiła inaczej, to znowu winę ponosi wciąż ta sama madame Pompadour, która chciała dogodzić „swej drogiej przyjaciółce" Marii Teresie. Wskutek wojny siedmioletniej Francja utraciła swe najlepsze kolonie, co niewątpliwie poważnie wpłynęło na rozwój jej stosunków ekonomicznych. Próżność kobieca występuje tu przed nami w roli wpływowego „czynnika" rozwoju ekonomicznego.

Analizując poglądy historyków fatalistów, Sainte-Beuve wypowiedział jeszcze jedną myśl, na którą należy również zwrócić uwagę. W cytowanym już przez nas artykule Migneta o „Historii rewolucji francuskiej" dowodził on, że przebieg i wynik rewolucji francuskiej były uwarunkowane nie tylko przez te przyczyny ogólne, które ją spowodowały, nie tylko przez te namiętności, których ona z kolei była źródłem, lecz także przez mnóstwo drobnych zjawisk, wymykających się spod oka badacza i nawet wcale nie wchodzących właściwie w zakres tak zwanych zjawisk społecznych. „W czasie gdy działały te (ogólne) przyczyny i (wywołane przez nie) namiętności — pisał Sainte Beuve — fizjologiczne siły przyrody również nie próżnowały: kamień nadal podlegał sile ciążenia, krew nie przestawała krążyć w żyłach. Czyżby nie zmienił się bieg wydarzeń, gdyby, przypuśćmy, Mirabeau nie zmarł na febrę, gdyby przypadkowo zrzucona cegła lub atak apoplektyczny zabił Robespierre'a, gdyby kula trafiła Bonapartego. Czyżbyście zaryzykowali twierdzenie, że wynik byłby ten sam? Przy dostatecznej liczbie przypadków analogicznych do tych, które wymieniłem, wynik ten mógłby być wręcz przeciwny temu, który uważaliście za nieunikniony. A przecież mam prawo zakładać możliwość takich wypadków, gdyż nie wykluczają ich ani ogólne przyczyny rewolucji, ani namiętności przez nie zrodzone". Przytacza on dalej słynną uwagę, że historia potoczyłaby się zupełnie inaczej, gdyby nos Kleopatry był nieco krótszy i w konkluzji uznając, że wiele da się powiedzieć w obronie poglądu Migneta, jeszcze raz wskazuje, na czym polega błąd tego autora: Mignet kładzie na karb jedynie tylko przyczyn ogólnych te wyniki, do których zjawienia się przyczyniło się mnóstwo innych przyczyn, drobnych, niewidocznych i nieuchwytnych; jego ścisły umysł nie chce jak gdyby uznać istnienia tego, w czym nie może dopatrzyć się reguł i prawidłowości.

Czy te zarzuty Sainte-Beuve'a są uzasadnione? Wydaje się, że zawierają one cząstkę prawdy. Lecz jaką mianowicie? By ją określić, zanalizujemy wpierw pogląd, że człowiek może „nagłą decyzją swej woli" wprowadzić do biegu wydarzeń nową siłę, która potrafi bieg ten znacznie zmienić. Przytoczyliśmy kilka przykładów, które, naszym zdaniem, wyjaśniają ją w sposób dostateczny. Zastanówmy się nad tymi przykładami.

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że za panowania Ludwika XV sztuka wojenna we Francji chyliła się coraz bardziej ku upadkowi. W czasie wojny siedmioletniej wojsko francuskie, za którym stale ciągnęło mnóstwo markietanek, handlarzy i służby, w którym liczba koni taborowych trzykrotnie przewyższała liczbę wierzchowców, przypominało według słów Henri Martina, raczej hordy Dariusza i Kserksesa niż armie Turenne'a i Gustawa Adolfa. Archenholtz, w swej historii tej wojny mówi, że oficerowie francuscy, wyznaczeni na wartę, często porzucali powierzony im posterunek, by pójść potańczyć gdzieś w sąsiedztwie i wykonywali rozkazy przełożonych tylko wtedy, gdy uważali to za konieczne i wygodne. Taki opłakany stan wojskowości był koniecznym skutkiem upadku szlachty, która jednakże zajmowała nadal wszystkie wyższe stanowiska w armii, oraz przez ogólne rozprężenie całego „starego ładu", szybko zmierzającego ku upadkowi. Już tylko te przyczyny ogólne były w pełni wystarczające, by nadać wojnie siedmioletniej niekorzystny dla Francji obrót. Niewątpliwie jednak nieudolność takich generałów jak Soubise zwiększyła wielokrotnie uwarunkowane przez przyczyny ogólne szanse niepowodzeń armii francuskiej. Wobec tego zaś, że Soubise zawdzięczał swe stanowisko madame Pompadour, należy stwierdzić, że próżna markiza była jednym z „czynników", które w znacznym stopniu spotęgowały niekorzystny dla Francji wpływ przyczyn ogólnych na stan rzeczy w czasie wojny siedmioletniej.

Markiza de Pompadour zawdzięczała swe znaczenie nie swej własnej sile, lecz władzy króla, który uległ jej woli. Czyż można twierdzić, że charakter Ludwika XV był właśnie taki, jakim koniecznie być musiał zgodnie z ogólnym biegiem rozwoju stosunków społecznych we Francji? Nie, przy tym samym biegu rzeczy mógł znaleźć się na jego miejscu król, który inaczej odnosiłby się do kobiet. Sainte-Beuve powiedziałby, że starczyło by tu oddziaływanie niewidocznych i nieuchwytnych przyczyn biologicznych. I miałby rację. Lecz jeśli tak jest, wynikałoby z tego, że te niewidoczne przyczyny wpłynąwszy na przebieg i wynik wojny siedmioletniej, wpłynęły tym samym także na dalszy rozwój

Francji, który potoczyłby się inaczej, gdyby wojna siedmioletnia nie pozbawiła jej większej części kolonii. Nasuwa się pytanie, czy wniosek ten nie przeczy pojęciu prawidłowości rozwoju społecznego?

Nie, ani trochę. Jakkolwiek niewątpliwe jest w podanych wypadkach oddziaływanie cech osobistych, nie mniej niewątpliwy jest również fakt, że wypadki te mogły rozegrać się jedynie w danych warunkach społecznych. Po bitwie pod Rosbachem Francuzi straszliwie pomstowali na protektorkę Soubise'a. Co dzień otrzymywała mnóstwo listów anonimowych, pełnych pogróżek i wyzwisk. Madame Pompadour była tym bardzo przejęta; zaczęła cierpieć na bezsenność. Jednakże nadal popierała Soubise'a. W r. 1762 wypominając mu w jednym ze swych listów, że nie spełnił pokładanych w nim nadziei, dodaje: „Nie obawiaj się Pan jednak niczego. Będę się troszczyć o Pańskie sprawy i postaram się pogodzić Pana z królem". Widzicie więc, że nie uległa ona opinii publicznej. Dlaczego nie uległa? Widocznie dlatego, że ówczesne społeczeństwo francuskie nie miało możliwości zmuszenia jej do ustępstw. A dlaczego ówczesne społeczeństwo francuskie nie potrafiło tego dokonać? Przeszkadzał mu w tym jego ustrój, który z kolei był zależny od układu ówczesnych sił społecznych we Francji. A więc w ostatecznym obrachunku układem tych sił tłumaczy się właśnie okoliczność, że charakter Ludwika XV i kaprysy jego faworytek mogły wywrzeć tak opłakany wpływ na losy Francji. Gdyby bowiem słabością do płci pięknej odznaczał się nie król, lecz jakiś królewski kucharz lub koniuszy, nie miałoby to żadnego znaczenia historycznego. Jest więc rzeczą jasną, że chodzi tu nie o słabostki, lecz o stanowisko społeczne osoby, która ma tę słabostkę. Czytelnik rozumie, że rozważania te można zastosować również do wszystkich innych przytoczonych przykładów. Należy w nich tylko zmienić to, co może ulec zmianie, na przykład na miejscu Francji umieścić Rosję, na miejscu Soubise'a Buturlina itd. Dlatego też nie będziemy tych rozważań powtarzać.

Wynika stąd, że jednostki dzięki określonym właściwościom swego charakteru mogą wpływać na losy społeczeństwa. Wpływ ten bywa niekiedy nawet bardzo znaczny, samą jednak możliwość tego rodzaju wpływu oraz jego zakres określa ustrój społeczeństwa, ustosunkowanie się jego sił. Charakter jednostki jest „czynnikiem" społecznego rozwoju tylko tam, tylko wówczas i tylko o tyle — gdzie, kiedy i o ile pozwalają na to stosunki społeczne.

Mogą nam zwrócić uwagę, że zakres osobistego wpływu zależy także od uzdolnienia jednostki. Zgodzimy się z tym. Jednostka jednak może wykazać te uzdolnienia tylko w tym wypadku, jeżeli zajmie odpowiednie stanowisko w społeczeństwie. Dlaczego losy Francji mogły znaleźć się w rękach człowieka pozbawionego wszelkich zdolności i chęci do służenia społeczeństwu? Dlatego, że taki był jej ustrój społeczny.

Właśnie ustrój określa w każdej epoce te role, a więc i znaczenie społeczne, które może przypaść w udziale uzdolnionym lub nieudolnym jednostkom.

Poza tym należy jeszcze wskazać na jedno: zastanawiając się nad rolą wielkich jednostek w historii ulegamy pewnemu złudzeniu optycznemu, na które pożytecznie będzie zwrócić uwagę czytelników.

Napoleon, wystąpiwszy w roli „dobrej szpady", ratującej porządek społeczny, tym samym odsunął od tej roli wszystkich innych generałów, spośród których niejeden, być może, odegrałby ją tak samo lub prawie tak samo jak on. Skoro potrzeba społeczna znalezienia energicznego dyktatora wojskowego została zaspokojona, ustrój społeczny zagrodził drogę do tego stanowiska wszystkim innym talentom wojskowym. Siła tego ustroju stała się czynnikiem nie sprzyjającym ujawnieniu się innych jednostek o tego rodzaju zdolnościach. Wskutek tego właśnie powstaje złudzenie optyczne, o którym mówimy. Siła osobista Napoleona występuje przed nami w postaci nader wyolbrzymionej, gdyż jej przypisujemy tę całą siłę społeczną, która wyniosła ją na powierzchnię i była jej podporą. Wydaje się nam ona czymś zupełnie wyjątkowym, gdyż inne podobne do niej siły nie przeszły ze stanu możliwości do stanu rzeczywistości. Dlatego też, gdy nam mówią: a co by było, gdyby nie było Napoleona, nasza wyobraźnia gubi się i wydaje się nam, że bez niego wcale nie mógłby nastąpić ruch społeczny, który był podłożem jego siły i wpływu.

W historii rozwoju umysłowego ludzkości powodzenie jednej osoby znacznie rzadziej staje na przeszkodzie powodzeniu innej. Lecz również tam nie jesteśmy wolni od wspomnianego złudzenia optycznego. Gdy dany stan społeczeństwa stawia jego wyrazicielom duchowym określone zadania, przyciągają one do siebie uwagę wybitnych umysłów tak długo, dopóki nie zdołają ich rozwiązać. Skoro to zostaje dokonane, uwaga ich zostaje skierowana na inny przedmiot. Rozwiązawszy zadanie X dany talent A skierowuje tym samym uwagę talentu B od tego zadania, już rozwiązanego, na nowe zadanie Y. I gdy nas pytają, co by było, gdyby A zmarł nie zdążywszy rozwiązać zadania X, wydaje nam się, że bieg umysłowego rozwoju ludzkości zostałby przerwany. Zapominamy, że w wypadku śmierci A do rozwiązania zadania mógłby przystąpić B lub C i D, i że w ten sposób ciągłość rozwoju umysłowego byłaby zachowana pomimo przedwczesnej śmierci A.

Po to, by człowiek o określonym talencie zyskał dzięki temu znaczny wpływ na bieg wydarzeń, konieczne są dwa warunki: po pierwsze, jego talent winien go uczynić bardziej odpowiednim od innych do zaspokojenia społecznych potrzeb danej epoki; gdyby Napoleon miast geniusza wojennego posiadał talent muzyczny Beethovena, nie zostałby naturalnie cesarzem. Po drugie, istniejący ustrój społeczny nie powinien zagradzać drogi jednostce, obdarzonej daną właściwością, potrzebnej i pożytecznej właśnie w tym czasie. Ten sam Napoleon umarłby jako mało znany generał lub pułkownik Buonaparte, gdyby stary ustrój utrzymał się we Francji jeszcze lat siedemdziesiąt pięć. W 1789 r. Davout, Desaix, Marmont i Macdonald byli podporucznikami; Bernadotte — sierżantem-majorem. Hoch, Marceau, Lefebvre, Pichegru, Ney, Masséna, Murat, Soult — podoficerami; Augereau — nauczycielem fechtunku; Lannes — farbiarzem; Gouvion-Saint-Cyr — aktorem; Jourdan — domokrążcą; Bessières — fryzjerem; Brune — zecerem; Joubert i Junot — studentami prawa; Kleber — architektem; Mortier nie służył w wojsku do rewolucji.

Gdyby stary ustrój przetrwał do naszych czasów, nikomu z nas nie przyszłoby na myśl, że we Francji u schyłku minionego (XVIII) stulecia niektórzy aktorzy, zecerzy, fryzjerzy, farbiarze, prawnicy, domokrążcy i nauczyciele fechtunku byli potencjonalnie geniuszami wojennymi.

Stendhal stwierdza, że człowiek, który urodził się równocześnie z Tycjanem tzn. w 1477 r., mógłby przeżyć 40 lat z Rafaelem i Leonardo da Vinci, z których pierwszy umarł w 1520 a drugi w 1519 roku, że mógłby spędzić szereg lat z Correggio, zmarłym w 1534 r. i z Michałem Aniołem, który żył do 1563 r; że nie miałby więcej niż 34 lata, gdy umarł Giorgione, że mógł być znajomym Tintoretto, Bassano Veronese, Juliusza Romano, Andrea del Sarto, słowem, że żyłby współcześnie ze wszystkimi wielkimi malarzami, z wyjątkiem należących do bolońskiej szkoły, która się zjawiła o całe stulecie później. Również można twierdzić, że człowiek urodzony w tym samym roku, co Wouwerman, mógłby osobiście znać prawie wszystkich wielkich malarzy Holandii, zaś rówieśnik Szekspira żył równocześnie z wielu znakomitymi dramaturgami.

Od dawna już zauważono, że talenty zjawiają się wszędzie i zawsze tam, gdzie istnieją społeczne warunki sprzyjające ich rozwojowi. To znaczy, że każdy talent, który przejawił się w rzeczywistości, czyli każdy talent, który stał się siłą społeczną, jest wytworem stosunków społecznych. Jeżeli zaś jest tak, to staje się zrozumiałe, dlaczego ludzie utalentowani mogą, jak mówiliśmy, zmienić jedynie indywidualne oblicze, lecz nie ogólny kierunek wydarzeń. Oni sami istnieją tylko dzięki temu kierunkowi; gdyby nie ten kierunek, nie przekroczyliby nigdy progu dzielącego możliwość od rzeczywistości.

Jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, że talent talentowi nie równy. „Gdy nowy krok w rozwoju cywilizacji powołuje do życia nowy rodzaj sztuki — powiada słusznie Taine — wokół jednego lub dwóch geniuszy, nadających myśli społecznej wyraz pełny, zjawiają się dziesiątki talentów, które wyrażają ją tylko połowicznie. Gdyby jakieś przyczyny mechaniczne lub fizjologiczne, nie mające związku z ogólnym biegiem społeczno-politycznego i duchowego rozwoju Włoch, uśmierciły Rafaela, Michała Anioła i Leonarda da Vinci jeszcze w latach dziecięcych, sztuka włoska byłaby mniej doskonała, lecz ogólny kierunek jej rozwoju w epoce Odrodzenia pozostałby ten sam. Rafael, Leonardo da Vinci i Michał Anioł nie stworzyli tego kierunku, byli oni tylko najdoskonalszymi jego wyrazicielami. Co prawda dookoła geniusza powstaje zazwyczaj cała szkoła i uczniowie starają się przyswoić sobie najdrobniejsze nawet chwyty jego; dlatego luka, która by powstała we włoskiej sztuce epoki Odrodzenia w rezultacie wczesnej śmierci Rafaela, Michała Anioła i Leonarda da Vinci, wywarłaby silny wpływ na wiele cech drugorzędnych włoskiej epoki Odrodzenia i jej dalszego rozwoju. Lecz w swej istocie rozwój ten również nie uległby zmianie, jeśliby tylko z jakichkolwiek przyczyn ogólnych nie nastąpiły jakieś istotne zmiany w ogólnym biegu duchowego rozwoju Włoch.

Wiadomo jednak, że zmiany ilościowe przechodzą wreszcie w zmiany jakościowe. Jest to słuszne wszędzie, a więc również w historii. Ten czy inny prąd w sztuce może wcale nie znaleźć wybitnego odzwierciedlenia, jeżeli niesprzyjający zbieg okoliczności usunie po kolei kilku utalentowanych ludzi, którzy mogliby stać się jego wyrazicielami. Jednak przedwczesna śmierć tych ludzi tylko w tym wypadku przeszkodzi wyrażeniu się tego prądu w sztuce, jeżeli nie będzie on dość głęboki, by wyłonić nowe talenty. A ponieważ głębia każdego prądu w literaturze i sztuce określona jest przez jego znaczenie dla tej klasy lub warstwy, której upodobania wyraża, oraz przez społeczną rolę tej klasy lub warstwy, więc tu również wszystko w ostatecznym wyniku zależy od przebiegu społecznego rozwoju i wzajemnego ustosunkowania się sił społecznych.

Wróćmy jednak do naszego tematu. Wielki człowiek jest wielki nie dlatego, że jego cechy osobiste nadają indywidualne oblicze wielkim wydarzeniom historycznym, lecz dlatego, że obdarzony jest właściwościami, które czynią go najbardziej zdolnym do służby na rzecz wielkich potrzeb społecznych swego czasu, zrodzonych pod wpływem przyczyn ogólnych i specyficznych. Carlyle, w swej słynnej pracy o bohaterach nazywa wielkich ludzi inicjatorami (beginners). Jest to bardzo trafne określenie. Wielki człowiek jest właśnie inicjatorem, gdyż widzi dalej i pragnie mocniej niż inni.

Bismarck twierdził, że nie możemy tworzyć historii, lecz winniśmy czekać, aż zostanie stworzona. Któż jednak jest twórcą historii? Tworzy ją człowiek społeczny, który jest jej jedynym „czynnikiem". Człowiek społeczny sam tworzy swoje, tzn. społeczne stosunki. Jeżeli jednak w danym czasie tworzy właśnie takie a nie inne stosunki, to odbywa się to oczywiście nie bez powodu; jest to uwarunkowane przez stan sił produkcyjnych. Żaden wielki człowiek nie może narzucać społeczeństwu tego rodzaju stosunków, które już nie odpowiadają stanowi tych sił lub jeszcze mu nie odpowiadają. W tym sensie nie może on rzeczywiście tworzyć historii i w tym wypadku nadaremnie przesuwałby wskazówki swego zegara; nie przyśpieszyłby biegu i nie cofnąłby go wstecz. W tym wypadku Lamprecht ma zupełną rację. Bismarck będąc nawet u szczytu swej potęgi nie potrafiłby cofnąć Niemiec do naturalnej gospodarki.

Stosunki społeczne mają swoją logikę: dopóki ludzie pozostają w określonych stosunkach wzajemnych dopóty nieuchronnie będą czuć, myśleć i postępować właśnie tak, a nie inaczej. Walka działacza społecznego przeciwko tej logice była by również daremna; naturalny bieg rzeczy (tzn. ta sama logika stosunków społecznych) obróciłby wniwecz wszystkie jego wysiłki. Skoro jednak wiem, w jakim kierunku zmieniają się stosunki społeczne w wyniku danych zmian w społeczno-ekonomicznym procesie produkcji, wiadome mi jest również, w jakim kierunku zmieni się również psychika społeczna. Mogę więc na nią wywierać wpływ. Wywierać wpływ na psychikę społeczną — to znaczy wywierać wpływ na wydarzenia historyczne. A więc w pewnym sensie mogę jednak tworzyć historię i nie ma potrzeby oczekiwać dopóki ona sama „się zrobi".

Monod sądzi, że naprawdę wybitne wydarzenia i jednostki w historii są ważne jedynie jako oznaki i symbole rozwoju instytucji i warunków ekonomicznych. Jest to myśl słuszna, aczkolwiek wyrażona bardzo nieściśle, lecz właśnie dlatego, że jest to myśl słuszna — nieuzasadnione będzie przeciwstawienie działalności wielkich ludzi „powolnemu ruchowi" wymienionych warunków i instytucji. Mniej lub bardziej powolna zmiana „warunków ekonomicznych" zmusza społeczeństwo co pewien czas do mniej lub bardziej szybkiej przeróbki swych instytucji. Taka przeróbka nigdy nie dokonuje się „sama przez się" — wymaga ona zawsze ingerencji ludzi, przed którymi powstają w ten sposób wielkie zadania społeczne. Wielkimi działaczami nazywają się ci właśnie, którzy bardziej niż inni przyczyniają się do rozwiązania tych zadań. Rozwiązać zaś zadanie — to nie tylko być „symbolem" i „oznaką" tego, że zostało ono rozwiązane.

Wydaje nam się, że Monod użył tego przeciwstawienia głównie dlatego, że pociągnęło go przyjemne słówko „powolne". Słówko to jest lubiane przez wielu współczesnych ewolucjonistów. Takie upodobanie jest psychologicznie zrozumiałe, rodzi się ono nieuchronnie w lojalnym środowisku umiarkowania i stateczności. Logicznie jednak nie wytrzymuje ono krytyki, jak dowiódł tego już Hegel.

I nie tylko dla samych „inicjatorów", nie tylko dla „wielkich" ludzi otwarte jest szerokie pole działania. Jest ono otwarte dla wszystkich mających oczy — by widzieć, uszy — by słyszeć, i serce — by kochać swych bliźnich. Pojęcie wielki jest pojęciem względnym.. W moralnym sensie wielki jest każdy, kto według słów ewangelii „oddaje duszę za przyjacioły swe".

tłumaczył Stefan Bergman

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA"

JERZY ZAGÓRSKI

WIECZÓR W WIELISZEWIE

str. 76 zł. 180

(Pod niewiele mówiącym tytułem „Wieczór w Wieliszewie" daje nam poeta pełną głębię przeżyć i olbrzymi zasięg impulsów do nastrojów przeżytych przez każdego z nas w koszmarnym okresie lat niedawno minionych. Jakby dla zaakcentowania kontrastów znajdują się w zbiorku idylliczne obrazy przyrody z wszystkimi zaletami wykwintnej poezji — obok odmalowanych lat klęski i upiornych przeżyć umęczonej Warszawy).

TREŚĆ Nr 22

Paweł Hertz — **Godzina nad książką Chamforta.** Chamfort — **Z małych dialogów filozoficznych.** Witold Łukaszewicz — **Dziennik arystokratki.** Stanisław Śreniowski — **Polska — Czechy.** H. Teigowa — **Notatki o współczesnej prozie czeskiej.** Kazimierz Brandys — **Samson (II).** Mieczysław Jastrun — **Wiersze.** Ryszard Matuszewski — **Trzynaście opowieści o żołnierskiej tułaczce.** Adam Bromberg — **Plany realizacje.** Włodzimierz Michajłow — **Nauka radziecka. Dyskusje Paryskie. Komunistyczna moralność** (opracował Mariusz Margal). Andrzej Braun — **Kobieta w partyzantce.** Janusz Minkiewicz — **Entliczek pentliczek. Przegląd Prasy. Korespondencja. Noty.**

KAZIMIERZ BUDZYK

O PAŃSTWOWY PLAN WYDAWNICZY

W obecnej sytuacji nie trzeba uzasadniać konieczności uporządkowania rynku wydawniczego w skali ogólnopolskiej. Konieczność tę uznają bowiem wszyscy, a przy końcu obecnego sezonu wydawniczego okaże się, że zamiast nawoływać, trzeba będzie rozpocząć powszechne bicie na alarm. Najbliższa jesień dostarczy niewątpliwie tyle krzyczących faktów bezsensu wydawniczego, ujawni zmarnowanie tak wielkiej sumy energii, pieniędzy i materiału, że dalsze tolerowanie obecnego chaosu okaże się nareszcie niemożliwe.

Drugim powodem przerwania obecnego systemu działalności wydawniczej jest wyraźne na niektórych odcinkach nasycenie rynku, które może wywołać kryzys produkcji niezależnie od trudności ogólnej sytuacji gospodarczej. Wszystkie firmy wydawnicze uprawiają jawne korsarstwo i nadużywają dziwnej opieszałości czynników państwowych, które pozostawiając wolną rękę inicjatywie prywatnej i społecznej zaniechały, jak dotąd, skutecznej ingerencji na tym odcinku produkcji.

Sama zasada planowości jest dzisiaj bezsporna. Niewątpliwe jest także i to, że planowość jest niepodzielna. Nie może dotyczyć pewnych dziedzin życia a nie interesować się innymi. W naszym wypadku nie może obejmować tylko produkcji papieru, nie dbając o to, na co ten papier poszedł. Najlepiej postawiona produkcja nie wygra ze zorganizowanym marnotrawstwem, które przynosi olbrzymie straty w skali ogólnej i wielkie korzyści dla poszczególnych inicjatorów, nie liczących się z nikim i niczym. W tym znaczeniu szkodnikiem będzie zarówno inicjator prywatny jak spółdzielczy, bo wolnokonkurencyjny system wcale nie przyniesie lepszych wyników, gdy będzie realizowany przez kapitał zorganizowany społecznie. Nie dość zamienić wielkie firmy prywatne działające przed wojną na rozbudowane dzisiaj potężne firmy spółdzielcze i państwowe. Trzeba prócz tego zmienić także i system.

Opanowanie rynku wydawniczego jest możliwe poprzez gruntowną reformę wszystkich elementów. Więc zarówno produkcji papieru, jak działalności wydawniczo-drukarskiej i pośrednictwa. W pierwszym okresie państwowości najwięcej kłopotu mieliśmy z komunikacją. Na działalności wydawniczej odbiło się to w ten sposób, że zaczęły powstawać, jak grzyby po deszczu, rozproszone w terenie ośrodki, ograniczające się głównie do produkcji wydawnictw periodycznych. Powstała niesamowita ilość gazet i czasopism, których nakłady przystosowano do potrzeb chwili bieżącej. Przy tym wszystkim był to okres zahamowania normalnej działalności w każdej dziedzinie, więc i w zakresie słowa drukowanego także. Czasopismo musiało w tym okresie zastąpić rozbite biblioteki, wyrównać brak książki szkolnej i oświatowej, musiało zaspokoić wszelkie potrzeby kulturalne. Okres ten trwał stosunkowo dość długo, nic więc dziwnego, że produkcja papieru nastawiła się przede wszystkim na papier gazetowy. Stabilizacja stosunków, odbudowa firm wydawniczych, uruchomienie ocalałych bibliotek, usprawnienie komunikacji — wszystko to stwarza realne podstawy dla zerwania z dotychczasowym i tymczasowym stanem rzeczy i przestawienia się na normalne tory działalności wydawniczej. Innymi słowy, trzeba skończyć z supremacją gazet i czasopism, trzeba nastawić się raczej na produkcję książki. Są to rzeczy tak jasne, iż zdawałoby się, że ich nie trzeba nawet poruszać. A tymczasem „Szpilki" ciągle jeszcze mają wystarczająco dużo materiału, żeby robić humorystyczne (choć wcale niewesołe) zestawienia ile to periodyków i egzemplarzy wypada na głowę jednego mieszkańca Łodzi. Przewaga papieru gazetowego nad dziełowym, jaką obserwujemy w planie trzechletnim, nie usposabia do optymistycznych na tym odcinku przewidywań. A przy tym wszystkim kto na prawdę wie, co się dzieje w działach zwrotów poszczególnych czasopism?

Sprawa periodyków nigdy nie była u nas rozstrzygnięta jak należy. Możliwość zastosowania mechanicznej produkcji i rozwój środków komunikacyjnych spowodowały na całym świecie przemiany, które polegają na zmniejszeniu liczby czasopism i podniesieniu wysokości nakładów. Na całym świecie — tylko nie u nas. Przed wojną również mieliśmy stosunkowo za dużo czasopism o niewielkich nakładach. Obecna sytuacja niewiele od tego odbiega. Jeśli bowiem nakłady są większe, w dużym stopniu jest to wynikiem nie konkretnych potrzeb lecz marnotrawstwa.

Przejściowe trudności komunikacyjne mamy już szczęśliwie za sobą. Centralnie działające organizacje społeczne stworzyły już sieć terenową i dysponują odpowiednio rozbudowanymi środkami łączności. Dlaczego więc nadal drukuje się organy terenowe tych organizacji, zamiast rozprowadzać w terenie jeden organ centralny? Każdy jako tako orientujący się w technice wydawniczej dostrzeże jak wielką oszczędność wysiłków i kosztów można by w ten sposób osiągnąć.

Zagadnienie wydajności warsztatów drukorskich nie tylko na terenie czasopism jest postawione fałszywie. Już dzisiaj można wyliczyć sporą ilość książek drukowanych przez wydawnictwa konkurencyjne nieraz w pięciu i więcej edycjach. Zwykle tak przy tym się zdarza, że większość wydań powinna od razu iść na makulaturę — tak jest niedbale wykonana, oczywiście nie tyle pod względem graficznym co edytorskim. Po zamknięciu obecnej kampanii szkolnej liczba tego rodzaju wypadków wzrośnie dwu lub trzykrotnie. Łatwo sobie uzmysłowić, jakie stąd wynikną straty materialne i szkody kulturalne.

Inną zupełnie stronę zagadnienia przedstawia celowość produkowanych wydawnictw. Niejednokrotnie podnosiły się tutaj protesty ludzi, którym nie może się w głowie pomieścić, że jest papier na wydawnictwa zbędne a nawet szkodliwe, nie ma natomiast na książki pilnie potrzebne. Jest dzisiaj tajemnicą poliszynela, że większość wydawnictw bardziej jest nastawiona na opłacalność przedsięwzięcia, niż na jego celowość kulturalną. Nie zawsze te rzeczy idą ze sobą w parze; w każdym razie bardzo trudno jest wydać dziś książkę, która nie ma zapewnionego zbytu i grozi deficytem. Między innymi tu leży przyczyna nikłej produkcji naukowo-wydawniczej. Instytucje naukowe są biedne i nie mają odpowiednich środków, wydawcy zaś muszą obowiązkowo robić kokosy, wykorzystując chłonność rynku spowodowaną zahamowaniem produkcji i wyniszczeniem książki przez okupację. Tych parę firm wydawniczych, które realizują pewien program kulturalny, nie ratuje sytuacji — dlatego, że działają one na dość wąskim odcinku i nie mają wpływu na resztę, której grozi kompletne wyjałowienie.

Przy omawianiu niedostatków obecnej działalności wydawniczej w Polsce mało kto zwracał uwagę na to, że książka jest dzisiaj niesłychanie droga. Nie wszyscy zresztą orientują się, że w małym tylko stopniu wiąże się to z ogólnymi trudnościami gospodarczymi. Do niedawna wydawcy otrzymywali papier przydziałowy po cenach sztywnych. Nakłady są kilkakrotnie wyższe od przedwojennych. Mimo to stopa kalkulacyjna jest przeciętnie półtora razy wyższa od przedwojennej. W początkowym okresie można to było usprawiedliwiać tym, że aparat produkcyjny wymagał dużych inwestycyj z powodu zniszczeń wojennych, a poza tym trzeba było na nowo organizować cały aparat wydawniczy. Argument ten nie zawsze zresztą jest istotny, gdyż wydawnictwa organizowane społecznie korzystały z dotacji państwowych i nie musiały liczyć na amortyzację włożonych kapitałów. Pominąwszy wszelkie tego typu wyjaśnienia trzeba stwierdzić, że dziś już mamy za sobą okres organizowania produkcji wydawniczej, a książka nadal jest nieprzyzwoicie droga. Tyle się pisze o upowszechnieniu kultury, o potrzebach kulturalnych mas pracujących a nikt nie zadbał o to, by podstawowy instrument tej akcji — książka — mógł być istotnie w tym celu zużytkowany.

Sprawa potanienia książki staje się paląca także i ze względu na rozpoczynające się organizowanie rynku nabywców poprzez realizację ustawy o bibliotekach powszechnych. Ustawa ta przewiduje, że 75% kosztów utrzymywania bibliotek ma ponosić samorząd. Budżety samorządów nie są jeszcze całkowicie zorganizowane (opierają się głównie na dotacjach państwowych) — gdy jednak staną się samowystarczalne, realizacja ustawy bibliotecznej musi odbywać się w sytuacji, która zapewni możliwość dokonywania przez samorząd poważnych zakupów książek. Książka musi potanieć.

Obniżenie ceny książki na drodze wyłącznie administracyjnej nie jest w pełni możliwe. Wyobraźmy sobie, że obniżymy stopę kalkulacyjną do wysokości przedwojennej, że obniżymy zbyt wysokie koszta księgarskie, że sięgniemy nawet do honorariów autorskich. Po wydaniu nastawionych na to aktów ustawodawczych okaże się, że osiągniemy najwyżej 10 do 20%. A żeby warto było w ogóle na serio tym się interesować, trzeba spowodować potanienie książki o 50% i więcej. Widzimy stąd, że sedno zagadnienia tkwi zupełnie gdzie indziej. Musimy tak zorganizować produkcję, żeby już przez to samo książka stała się tańsza. Istnieją dwie możliwości: 1. wyprodukowanie książki musi istotnie kosztować o wiele mniej niż kosztuje teraz, i 2. wydawca musi mieć gwarancję, że nie będzie miał strat, czyli że książka pójdzie. Prowadzi to do przestawiania działalności wydawniczej na produkcję mechaniczną i do bezwzględnego monopolu w zakresie produkowanej książki. Przyjrzyjmy się obu tym koniecznościom z osobna.

Produkcja mechaniczna polega na tym, żeby dowolną ilość egzemplarzy można było osiągnąć przy pomocy jednego i tego samego składu. W tym wypadku nie chodzi nawet o uruchomienie maszyny rotacyjnej. Idzie o to, by nie powtarzać kosztownych zabiegów drukarskich jak składanie i korekta tekstu (przeszło 80% ogólnych kosztów wydawniczych). Po prostu mówiąc — musimy dążyć do tego, żeby każdy skład był matrycowany, bo w ten sposób każde nowe odbicie obciążone będzie tylko ceną papieru i kosztami zabiegów manipulacyjnych.

Powyższy szczegół nabiera znaczenia praktycznego dopiero wtedy, gdy wydawca będzie miał na daną książkę absolutny monopol. Kalkulacja księgarska nie będzie wtedy zawierać elementu ryzyka i może być obliczona nie na konkretnie odbitą część nakładu, lecz na całe zapotrzebowanie w ciągu bardzo długiego okresu czasu. Nie trzeba dodawać, że automatycznie podnieść się musi poziom opracowania edytorskiego, gdyż nie będzie można tak łatwo wprowadzać poprawek przy odbiciach późniejszych.

Dążność do wyeliminowania dubletów wydawniczych pociąga za sobą konieczność nie tylko odpowiednich aktów ustawodawczych, ale też centralnego ośrodka dyspozycyjnego dla spraw wydawni-

WSPÓŁCZESNA RZEŹBA CZESKA

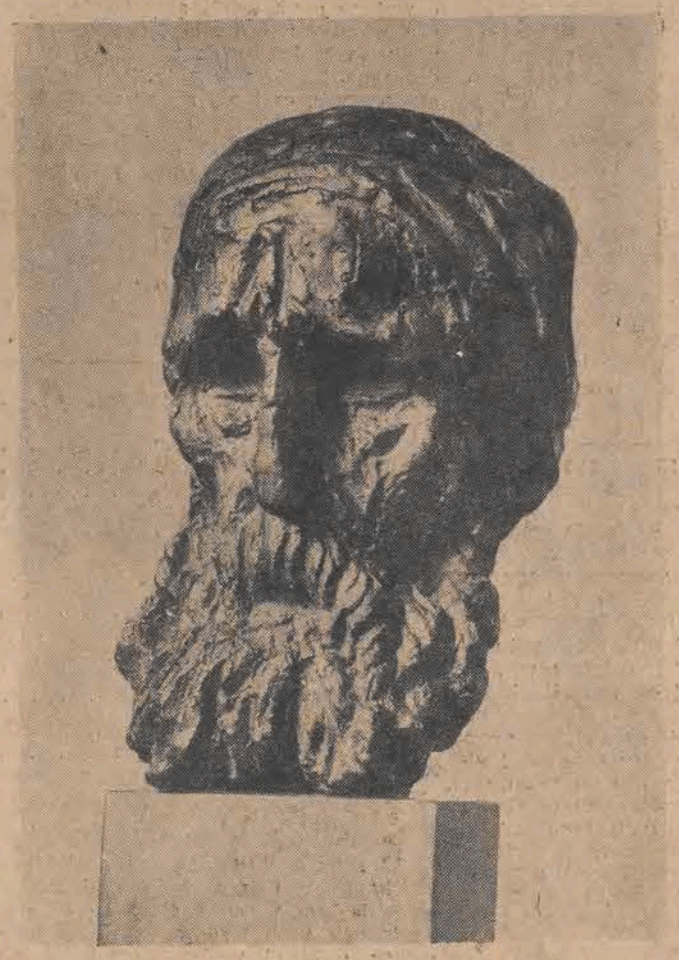

Kosta Józef — **Głowa starca**

Pokorny Karel — **Głowa Chrystusa**

czych. Żadnego planowania wyobrazić sobie bez tego nie można. Dalszą konsekwencją jest system aprobowania planów wydawniczych poszczególnych wydawców. Zachodzą tutaj dwie możliwości: albo produkcja wydawnicza będzie mieć charakter wykonywanego skrupulatnie zamówienia owej komórki dyspozycyjnej, albo też kompetencje owego urzędu będą się ograniczać do kontroli i korekty planów wydawniczych przedłożonych przez wydawców. Tak czy inaczej musi powstać centralny plan wydawniczy opracowany na każdy najbliższy okres przez ów ośrodek dyspozycyjny przy współudziale wszystkich możliwych fachowców. W planie tym musi być respektowana przede wszystkim celowość kulturalno-społeczna przewidywanych w pewnej kolejności wydawnictw, zaś czynnik księgarsko-merkantylny byłby brany pod uwagę jedynie z punktu widzenia samowystarczalności gospodarczej firm wydawniczych i sprawiedliwego przydzielanie zamówień. Wydaje mi się, że pozostawienie inicjatywy w rękach wydawców i sprawowanie jedynie tylko kontroli bardziej odpowiada modelowi naszego ustroju społecznego i gospodarczego.

Wydawcy z natury rzeczy bardziej są nastawieni na powodzenie księgarskie danego wydawnictwa, a mniej się liczą z koniecznościami kulturalnymi i społecznymi. Jeśli więc plany wydawnicze mają być wyrazem inicjatywy wydawców, należy poważnie liczyć się z niebezpieczeństwem powstawania książek dogadzających poziomym instynktom i nie wiele mających wspólnego z zaspakajaniem potrzeb kulturalnych. Wychowywanie wydawców na drodze takiego czy innego kazania nie da, rzecz jasna, pożądanych wyników. Trzeba więc, żeby wydawcy czerpali do swych planów wydawniczych materiał, który już przejdzie przez sito oceny merytorycznej. Innymi słowy trzeba stworzyć instytucję Komisji Ocen. Komisjom tym musiałyby być przedstawiane do oceny wszystkie rękopisy nowych tekstów, względnie projekty wznowienia już wydanych książek. Wydaje mi się, że Komisje Ocen powinny mieć charakter społeczny i powinny wciągnąć do współpracy wszystkich możliwych fachowców. Zorganizowaniem ich zajęłyby się poszczególne związki czy urzędy, jak np. Związek Literatów dla literatury pięknej, Towarzystwa Naukowe dla twórczości naukowej, poszczególne departamenty zainteresowanych Ministerstw dla wszelkich pozostałych wydawnictw.

Konsekwencje działalności tak pomyślanego centralnego ośrodka dyspozycyjnego dla spraw wydawniczych byłyby bardzo doniosłe: 1. Komisje Ocen uniemożliwiłyby w rezultacie szkodnictwo kulturalne, którego dopuszczają się niektórzy wydawcy bez popadania jak dotąd w jakąkolwiek kolizję z prawem, 2. uniemożliwione zostałoby również powstawanie dubletów wydawniczych tak bardzo charakterystyczne dla dzisiejszego na tym terenie korsarstwa, 3. udzielenie monopolu na dane wydawnictwo i mechaniczny system produkcji pozwoliłyby wydawcy na niską kalkulację ceny książki i stworzyłyby realne podstawy dla upowszechnienia kultury, 4. nastawienie na długowieczność każdego wydawnictwa zmusiłoby wydawcę do bezbłędnego opracowania edytorskiego tekstu, 5. opracowanie idealnego planu wydawniczego na dany okres pozwoli na ustalenie takiej kolejności publikacji wydawnictw, która najlepiej odpowiada konkretnym w danej chwili potrzebom.

Tej garści uwag na tematy wydawnicze nie wypowiadam sobie a muzom. Sytuacja dojrzała bowiem do zasadniczych na tym terenie rozstrzygnięć. O ile wiem, projektuje się zorganizowanie Departamentu Książki w ramach Ministerstwa Kultury i Sztuki; czynione są starania o uruchomienie Wydziału Wydawniczo - Księgarskiego w Ministerstwie Oświaty; analogiczne plany powstają w Prezydium Rady Ministrów; bieżącą robotę w tym zakresie i przygotowawczą na przyszłość usiłuje prowadzić Centralny Urząd Planowania — i podobno jeszcze inne instytucje chcą sprawę wziąć w ręce, nie licząc inicjatywy Związku wydawców i księgarzy. Dyskusja na ten temat jest więc bardzo na czasie.

Kazimierz Budzyk

ADAM BROMBERG

STO TYSIĘCY STRON

w pierwszym kwartale 1947 r.

Sprawy wydawnicze

PODSTAWĄ ogólno-państwowego planu wydawniczego jest dokładna znajomość stanu obecnego, szybka, bieżąca informacja, statystyczna o rynku wydawniczym. Rejestracja zmian zachodzących na rynku wydawniczym wskazuje kierunek rozwoju, ujawnia nie przewidziane często przesunięcia w układzie sił produkcyjnych i w rozmiarach poszczególnych działów produkcji.

Dlatego też nie czekając na oficjalną statystykę druków sięgamy znów do nieoficjalnych spisów ukazujących się książek, nadsyłanych do Archiwum Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, dla stworzenia sobie przybliżonego obrazu produkcji wydawniczej w I kwartale br. Zastrzegając nawet możliwość pewnych niedokładności, zakładając, że obraz ten jest przybliżony — uzyskujemy jednak pewną ogólną orientację w rozmiarach produkcji wydawniczej w Polsce. Natomiast pełną wartość porównawczą mają uzyskane tą drogą dane ze sporządzonymi tą samą metodą zestawieniami produkcji wydawniczej w r. 1946 i w dwuleciu od lipca 1944 do lipca 1946 *).

Ogólna produkcja książek i broszur w I kwartale br. obejmuje 871. tytułów, co w porównaniu z 697 tytułami 1-go kwartału 1946 r., stanowi wzrost o 36%. Produkcja tego kwartału br. jest również większa o przeszłorocznej średniej rocznej — 812 tytułów; natomiast w porównaniu z IV kwartałem 1946 (1041 tytułów) zaznacza się spadek o ok. 20%. Osiągnęliśmy zatem tymczasowy pułap naszych możliwości wydawniczych, pułap, wobec przeszkód w produkcji papieru, trudny do utrzymania. O pewnej stabilizacji poziomu produkcji wydawniczej świadczy również równomierne rozłożenie produkcji na styczeń, luty i marzec: tytuły odpowiednio — 302, 267, 302, objętość — 35, 27 i znów 36 tysięcy stron. Dokonane po raz pierwszy obliczenie łącznej objętości książek i broszur, wydanych w I kwartale — (prawie 100 tysięcy stron daje dodatkową ciekawą ilustrację produkcji wydawniczej w Polsce, zestawionej w następującej tabelce (obliczenia własne wg. spisu książek i broszur nadsyłanych do Archiwum Gł. U. K. P. P. i W):

KSIĄŻKI i BROSZURY WYDANE w I KWARTALE 1947 r.

DZIAŁ	Ilość tytułów w sztukach	Ilość tytułów w %% całej produkcji	Objętość Stron	Objętość w %% całej produkcji
I. Dzieła treści ogólnej	36	4,1%	5934	6 %
II. Nauka. Kultura	8	0,9%	1365	1,4%
III. Archiwistyka. Biliogia. Muzealnictwo.	3	0,3%	174	0,2%
IV. Religia.	76	8,7%	7678	7,8%
V. Filozofia. Logika. Psychologia	14	1,6%	1331	1,4%
VI. Historia.	50	5,7%	6742	6,8%
VII. Geografia.	14	1,6%	1155	1,2%
VIII. Antropologia. Etnologia.	1	0,1%	50	0,1%
IX. Językoznawstwo	11	1,3%	1271	1,3%
X. Literatura.	113	13 %	22159	22,5%
XI. Nauka o literaturze	32	3,7%	3074	3,1%
XII. Muzyka. Teatr. Kino.	38	4,4%	871	0,9%
XIII. Sztuki plastyczne. Architektura.	5	0,6%	294	0,3%
XIV. Prawo. Administracja.	30	3,4%	2791	2,8%
XV. Polityka. Publicystyka.	29	3,3%	1705	1,7%
XVI. Ekonomika.	19	2,2%	2592	2,6%
XVII. Nauki i zagadnienia społeczne	46	5,3%	3236	3,3%
XVIII. Oświata. Wychowanie.	33	3,8%	2855	2,9%
XIX. Wychowanie fizyczne. Sport. Gry.	7	0,8%	747	0,8%
XX. Matematyka.	5	0,6%	767	0,8%
XXI. Nauki przyrodnicze	26	3 %	2424	2,4%
XXII. Nauki lekarskie	17	2 %	1358	1,4%
XXIII. Technika	40	4,6%	4997	5,1%
XXIV. Wojskowość (prócz wydawnictw Wojsk. Inst. Nauk. Wyd.)	2	0,2%	140	0,1%
XXV. Przemysł. Rzemiosło. Handel. Transport	46	5,3%	3002	3 %
XXVI. Gospodarstwo wiejskie, domowe.	27	3,1%	2025	2,1%
XXVII. Podręczniki szkolne.	46	5,3%	8464	8,6%
XXVIII. Wydawnictwa dla dzieci i młodzieży	97	11,1%	9344	9,4%
Razem	871	100 %	98545	100 %

Zestawienie w powyższej tabelce objętości książek umożliwia ocenę czy w danej dziedzinie przeważają broszury, a w każdym razie — czy się już ukazują książki o większej ilości stron. Średnia grubość tomu wydanego w pierwszym kwartale br. wynosi 112 stron (7 arkuszy druku). W dziale literatury pięknej (łącznie z poezją, gdzie przeważają niewielkie tomiki) objętość wynosi średnio 196 stron, w dziale podręczników szkolnych — średnio 184 strony. Świadczy to o rezygnacji wydawców z wydawania w tych działach „tymczasowych broszurek", a nastawieniu się na normalną, pełnocenną bibliotecznie książkę pełnoformatową. Nie mamy odpowiednich cyfr porównawczych za rok 1946 i lata poprzednie, ale wydaje się bezsporne, że ilość broszurek we wszystkich działach wydatnie zmalała. Wzrosła natomiast produkcja książek.

Z poszczególnych działów zwraca uwagę poważny wzrost ilości wydawnictw religijnych, które w marcu osiągnęły największą ilość tytułów bo aż 43, co stanowi 15% produkcji wydawniczej tego miesiąca t. zn. tyle samo, co literatura piękna i więcej od wszystkich pozostałych działów.

Dane o objętości przydają nam się przy rozpatrzeniu dla przykładu działu filozofii, logiki i psychologii. Wskazują one na przewagę broszur kilkudziesięciostronicowych, co obniża oczywiście wartość 14 pozycji tego działu. Odstępując od zasady rozpatrywania suchych cyfr statystycznych, orientujących tylko w rozmiarach produkcji, spójrzmy, co się kryje poza tą cyfrą 14 pozycji z dziedziny filozofii, logiki i psychologii. Znajdujemy tu wydaną przez „Książkę" pracę Adama Schaffa — „Pojęcie i słowo" (218 stron), następnie wydaną przez „Naszą Księgarnię" książkę Markinówny — „Psychologia indywidualna Adlera" (str. 176); dwie książki wydano nakładem autorów: Jana Stachniuka — „Człowieczeństwo i kultura" (272 str.) i St. Hryniewicza — „Czymże jest naprawdę życie człowieka" (str. 152). Wreszcie wydano przez Apostolstwo Modlitwy Ks. Jezuitów tłumaczenie z niemieckiego Emila Fiedlera — „Nowy człowiek" (str. 172). Poza tym już tylko niewielkie broszurki, odbitki z czasopism, referaty, książeczki popularno-naukowe i naukowe. Niewątpliwie mało, o wiele za mało, nawet przy naszych możliwościach, w porównaniu z innymi działami wiedzy ścisłej.

Przyjrzyjmy się z kolei w następnym zestawieniu, jak zmienia się waga gatunkowa poszczególnych działów naszej produkcji wydawniczej. Dysponujemy tu jedynie porównalnymi cyframi ilości tytułów, które jednak trafnie, moim zdaniem, odzwierciadlają tendencje rozwojowe na naszym rynku wydawniczym:

KSIĄŻKI i BROSZURY wydane w I kw. 1947 w zestawieniu z r. 1946 i dwuleciem 1944/1946

DZIAŁ	Ilość tytułów danego działu w procentach ilości tytułów całej produkcji wydawniczej w okresie: 22. 7. 1944 — 22. 7. 1946	1946 r.	I kwartał 1947
0. Książki treści ogólnej	7,5 %	5,2%	4,1%
1. Filozofia	0,75%	1,3%	1,6%
2. Religia, teologia	7 %	7,2%	8,7%
3. Nauki społeczne, prawne; publicystyka	25 %	22,7%	12,6%
4. Językoznawstwo	1,3 %	0,8%	1,3%
5. Nauki ścisłe	2,2 %	2,5%	3,5%
6. Nauki stosowane	12,75%	14 %	25,5%
7. Sztuki piękne. Gry. Sporty	5,5 %	5, %	6 %
8. Literatura piękna	17 %	18,3%	13 %
Książki dla dzieci i młodzieży	7 %	10, %	11,1%
9. Historia. Geografia	9 %	10 %	7,3%
Podręczniki szkolne	5 %	4 %	5,3%
	100	100	100

Mamy więc w I kwartale b. r. silny wzrost ilości wydawnictw religijnych (15% produkcji miesiąca marca b. r. jest dalszym etapem tego wzrostu). Poważnie natomiast zmniejszyła się ilość broszur publicystycznych, która w roku 1946 dochodziła do 1/5 produkcji wydawniczej. Zaznacza się równocześnie wzrost ilości wydawnictw naukowych, szczególnie szybko rosną wykazy nowych wydawnictw popularno-naukowych, broszurek technicznych i gospodarczych. Zmalała jedynie ilość publikacji historycznych, co łączy się ze szczególnie silną w pierwszym dwuleciu kampanią wydawnictw dokumentarnych z okresu okupacji (np. Centr. Komisji Hist. Żydów Polskich).

Poważnym sygnałem alarmowym jest zmniejszenie się ilości wydawnictw z dziedziny literatury pięknej. Udział jej w ogólnej produkcji zmalał z 18,3% na 13%. Sprawa ta łączy się z kolejnym interesującym nas zestawieniem wagi gatunkowej poszczególnych grup wydawniczych w I kwartale b. r. w zestawieniu z r. 1946.

WYDAWCY KSIĄŻEK i BROSZUR w I kwartale r. 1947 w porównaniu z r. 1946

	WYDAWCA	I kwartał 1947 Objętość wyd. książek Stron w %% og. produkcji		Ilość wyd. nakładów Tytułów w %% og. produkcji		1946 Ilość wyd. tytułów w %% og. prod.
I	**Spółdzielnie Wydawnicze**	25243	25,7%	170	19,5%	17 %
	W tej liczbie:					
	Sp. Wyd. „Książka"	7244	7,4%	51	5,9%	5,2%
	Sp. Wyd. „Czytelnik"	5538	5,7%	37	4,2%	3,6%
	Sp. Wyd. „Wiedza"	3103	3,1%	14	1,6%	2,2%
	Sp. Wyd. „Nasza Księgarnia" . .	2938	3 %	17	1,9%	2 %
II	**Instytucje Wydawnicze Państwowe** .	23394	23,6%	198	22,8%	22 %
	W tej liczbie:					
	Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych	5016	5,2%	38	4,4%	2,4%
III	**Organizacje społeczne, Związki, Stowarzyszenia** (prócz katolickich) . .	10737	10,9%	117	13,5%	11,3%
III a)	**Organizacje katolickie**	5936	5,9%	88	10,1%	6,2%
IV	**Firmy wydawnicze, prywatne i anonimowe**	33235	33,9%	298	34,1%	43,5%
		98545	100 %	871	100 %	100 %

W I kwartale Spółdzielnie Wydawnicze zwiększają wydatnie swoją produkcję zarówno w liczbach absolutnych, jak i w stosunku do innych grup wydawniczych. Biorąc pod uwagę objętość wydawanych książek i broszur Spółdzielnie wydawnicze przekraczają 1/4 produkcji krajowej. Najszybciej rośnie produkcja „Książki" (liczne wartościowe reedycje), która pod względem ilości tytułów i objętości wydawanych książek zachowuje w pierwszym kwartale stanowisko czołowe wśród polskich wydawnictw.

*) Por. Kuźnica nr 10/1947 „Wydawnictwa ruszyły" (Produkcja r. 1946).

Niestety, nie dysponujemy jeszcze statystyką nakładów, któraby dała inny jeszcze punkt widzenia na udział każdego wydawnictwa w ogólnej produkcji. Pod tym względem przodują niewątpliwie Państwowe Zakłady Wyd. Szkolnych ze swymi idącymi w setki tysięcy nakładami podręczników. Nie uwzględniając jednak nakładów, instytucje państwowe w kwartale br. zachowały swoją pozycję na rynku wydawniczym.

Przy pewnym wzroście produkcji wydawniczej instytucji i organizacji społecznych, najsilniej — bo prawie w dwójnasób — wzrosła produkcja wydawnicza instytucji religijnych. Natomiast poważny jest spadek produkcji w I kwartale firm prywatnych. Łączy się to zapewne z odpadnięciem nastrojów „gruenderskich", czysto geszefciarskich na rynku wydawniczym. Książka przestała dawać łatwy i szybki zysk. Zmniejszyła się więc znacznie liczba wydawnictw przypadkowych, których wielu wydało w r. ub. po 1—2 książki. Tym się też tłumaczy zmniejszenie ilości wydawnictw beletrystycznych, których się ukazało nakładem wydawców prywatnych tylko 55 tytułów, t. zn. 50% wydanych ogółem („Czytelnik" 16, „Książka" 14, „Wiedza" 10, inne wydawnictwa spółdzielcze, społeczne i państwowe — 8 tytułów) podczas gdy w r. 1946 wydawcy prywatni dali 75—80% książek beletrystycznych.

Nie wdajemy się tutaj — zgodnie z założeniami artykułu — w ocenę szkodliwości czy może pożyteczności zaniechania przez niektórych, często odpowiedzialnych wydawców wydania tej czy innej powieści. Stwierdzamy jedynie spadek produkcji książek z dziedziny literatury pięknej poniżej przedwojennego poziomu, mimo że odbudowa naszych bibliotek wymaga raczej dalszego rozszerzania tej dziedziny produkcji.

Analiza produkcji wydawniczej I kwartału br. pozwala stwierdzić postępującą stabilizację rynku wydawniczego, dalsze wzmocnienie organizacyjne poważniejszych wydawnictw wszystkich „sektorów". Jeśli trudności w przemyśle papierniczym i szeroka szkolna kampania wydawnicza narzucają konieczność pewnych ograniczeń i osłabienie działalności wydawniczej w II.im i III kwartale, to tym ważniejsza jest w tej chwili prowadzona przez Komisję Centralnego Planu Wydawniczego przy CUP'ie i przez Ministerstwo Oświaty akcja ustalenia hierarchii potrzeb wszystkich zgłaszanych do wydania książek. Można i należy to robić sprawnie i szybko by nie hamować już trwających procesów wydawniczych. Niezdecydowanie i zwłoka może bowiem w fatalny sposób zaciążyć na rocznej produkcji wydawniczej, i tak o wiele za niskiej na nasze potrzeby.

Adam Bromberg.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Po wizycie pisarzy czeskich i słowackich

TRUDNO by sobie wyobrazić przedsięwzięcie bardziej potrzebne, bardziej na czasie, a zarazem bardziej istotne dla kulturalnych związków naszej literatury, niż wizyta bawiących obecnie w Polsce pisarzy czeskich i słowackich. Jeśli przyjeżdżają do nas pisarze francuscy, angielscy, rosyjscy — przyjeżdżają jako przedstawiciele wartości w dużej mierze dla nas już odkrytych. Wiedza o literaturze tych krajów wymaga stałej aktualizacji i pogłębiania, ale nie wymaga karczowania ścieżek w lesie tak kompletnej ignorancji, jak ta, która cechuje stan naszych wiadomości o dorobku naszych najbliższych sąsiadów i przyjaciół czechosłowackich. Związki literackie polsko-czeskie są, trzeba to przyznać jednosko-czeskie są, trzeba to przyznać jednostronne; polskie książki są tłumaczone na czeski i słowacki w nieporównanie większej liczbie niż książki czeskie i słowackie na język polski. Obecny stan tej literatury, zwłaszcza literatury czeskiej nie usprawiedliwia takiej sytuacji. Czechosłowacja ma dziś dobre europejskie piśmiennictwo, ma świetnych prozaików, w których dziełach przełamuje się obraz życia społeczeństwa o bardziej zaawansowanej w rozwoju strukturze ekonomicznej, niż nasza; ma wybitnych poetów, reagujących żywo na współczesność i prądy wielkich literatur europejskich. To, co stanowiło niegdyś o naszej wyższości nad Czechosłowacją — wielka tradycja literacka wieków XVI do XIX, ma coraz mniejsze znaczenie wobec narastania w Czechosłowacji coraz grubszych pokładów tradycji nowszej, wobec faktu, że, koniec końców nawet w ziawiskach tak skomplikowanie się warunkujących jak dorobek literacki — byt określa świadomość, i społeczeństwo, które buduje wartości kultury materialnej tak wysokie, jak społeczeństwo czeskie — tworzy istotne i niezaprzeczone, obiektywne warunki powstawania w następnej fazie także wysokiej kultury intelektualnej czy, jak kto woli, duchowej. Przeciwnie upadek kultury materialnej spowodować musi, prędzej czy później także upadek takich ziawisk jak sztuka i literatura. O tych rzeczach wielu ludzi w Polsce ma jeszcze ciągle zgubne i fałszywe wyobrażenia.

Współczesna literatura czeska ma szerokie i wielostronne związki z literaturą światową, europejską i amerykańską. Ich problematyka znajduje żywy oddźwięk w Czechosłowacji. Liczba przekładów z literatury rosyjskiej czy amerykańskiej znacznie przewyższa to, co zrobiono w tej dziedzinie u nas. Głośne w całym świecie nazwiska Steinbecka czy Hemingwaya nie są dla czeskiego czytelnika pustym dźwiękiem: książki ich są już przetłumaczone. Imponująca jest też liczba przekładów najnowszej literatury radzieckiej, za której rozwojem praca tłumaczy czeskich nadąża równolegle.

Pisarzy czeskich ożywia ta sama co i nas troska o właściwy model literatury, która by wiernie i celowo pełniła swą funkcję przewodniczki człowieka. Podobnie jak i u nas ich literackie dyskusje obracają się głównie wokół sporu o realizm i o stosunek do wielkiej tradycji literackiej. Pisarze czescy zwartym i jednolitym frontem stanęli w obozie społecznego postępu, większość ich jest zorganizowana politycznie i skupia się wokół partii komunistycznej Czech, w której widzi ośrodek ruchu czeskiego odrodzenia narodowego. Pisarze czescy stoją na stanowisku, że tylko tego rodzaju postawa prowadzi dziś w konsekwencji do zapewnienia możliwości rozwojowych zarówno tym, co tworzą kulturę, jak i tym co z jej wytworów korzystają. Zajmując tego rodzaju zasadnicze stanowisko społeczno - ideowe, w sprawach artystycznych podkreślają oni bezwzględną konieczność zachowania pełnego zakresu swobody twórczej jako najlepszej rękojmi doskonalenia tych narzędzi artystycznego wyrazu, jakie potrzebne są, by społeczeństwu walczącemu o postęp zapewnić sztukę prawdziwie wartościową.

W roku 1948, w setną rocznicę Wiosny Ludów literaci czescy projektują urządzenie w Pradze wielkiego kongresu pisarzy wszystkich państw słowiańskich. Byłaby to cenna manifestacja zbliżenia i porozumienia ludzi kultury narodów, kroczących wspólną drogą polityczną do zapewnienia sobie i innym pokoju i dobrobytu.

Przyjazd pisarzy czeskich i słowackich przełamał mur obojętności wobec sprawy udostępnienia czytelnikowi polskiemu wybitnych dzieł współczesnej literatury czeskiej. Kontakt osobisty był tu potrzebny bardziej, niż w jakimkolwiek innym wypadku. Na konferencji odbytej w otoczonym opieką Ministerstwa Kultury i Sztuki, pięknym pałacu w Nieborowie wydawcy polscy — przedstawiciele „Czytelnika", „Wiedzy", Państwowego Instytutu Wydawniczego, a później w Łodzi przedstawiciele „Książki" — zgłosili konkretne zamiary i gotowość wydania już w okresie najbliższym dzieł czeskich pisarzy. W ciągu zapewne najdalej roku poznamy m. in. ważniejsze utwory goszczących u nas literatów czeskich: świetnych powieściopisarzy Marii Pujmanowej i Wacława Rzezacza. Być może da się z czasem doprowadzić do skutku opracowanie jakiejś antologii poezji czeskiej, gdzie znaleźlibyśmy także wiersze naszego gościa, wybitnego poety Franciszka Halasa.

Główną trudnością jest, jak dotąd, brak zastępu dobrych, dających gwarancje artystycznej rzetelności, tłumaczy dzieł czeskich na język polski.

Wnioski z konferencji nieborowskiej są ważne dla pisarzy i tłumaczy, zwłaszcza młodszych. Nie jest trudno nauczyć się czeskiego. Przed chętnymi otwiera się ciekawe pole konkretnej i realnej pracy, nie mającej cech jedynie przyjaźni sąsiedzkiej kurtuazji, lecz istotny cel wzbogacenia naszych bibliotek rzeczami wartościowymi i pomnażającymi naszą wiedzę o świecie — tym dorobkiem, jakiego dostarcza kulturze europejskiej myśl i wyobraźnia czeskich pisarzy.

Mniejsze szanse na przekłady ma oczywiście młoda siostra literatury czeskiej — twórczość słowacka. I tu jednak nie powinniśmy zapominać, że w trzymilionowej ludności słowackiej mamy od dawna czujnego i żywego odbiorcę naszej literatury, orientującego się lepiej niż zapewne wielu w Polsce przypuszcza, w naszym życiu i ruchach kulturalnych, pomnażającego teren oddziaływań naszego piśmiennictwa. Wzajemna orientacja w stopniu rozwoju twórczości słowackiej ma dla nas niewątpliwe znaczenie. W związkach polsko-słowackich polska reakcja akcentowała zawsze w sposób jednostronny to, co rzekomo łączyło Polskę ze Słowacją przeciw Czechom — słowacki katolicyzm albo, opóźniające cywilizacyjny rozwój Słowacji, elementy bogatego, słowackiego folkloru. Kollaboracja skompromitowała sfery klerykalne narodu, którego warstwa inteligencka i kulturalnie przodująca rekrutowała się zawsze w większej części ze środowisk absolutnie niepodlegających jej wpływowi. Dzisiejsza Słowacja, Słowacja postępu zerwała związki z hlinkowskim separatyzmem i zaściankowością, wiodącą, jak wykazała historia, prosto w objęcia faszyzmu. Widzi ona możliwości rozwoju swej kultury tylko w najściślejszym związku z Czechami. Goszczący w Polsce przedstawiciele młodej literatury słowackiej dr Rudo Brtań i red. Paweł Buncak reprezentują tę właśnie powszechną dziś postawę słowackiej myśli politycznej i słowackiej literatury. W naszym interesie leży poznanie nowej Słowacji i podkreślenie pozytywnego stosunku do tych przemian, jakie w niej zachodzą.

Ryszard Matuszewski

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO CZESKIE

Miroslaw Holij — Portret

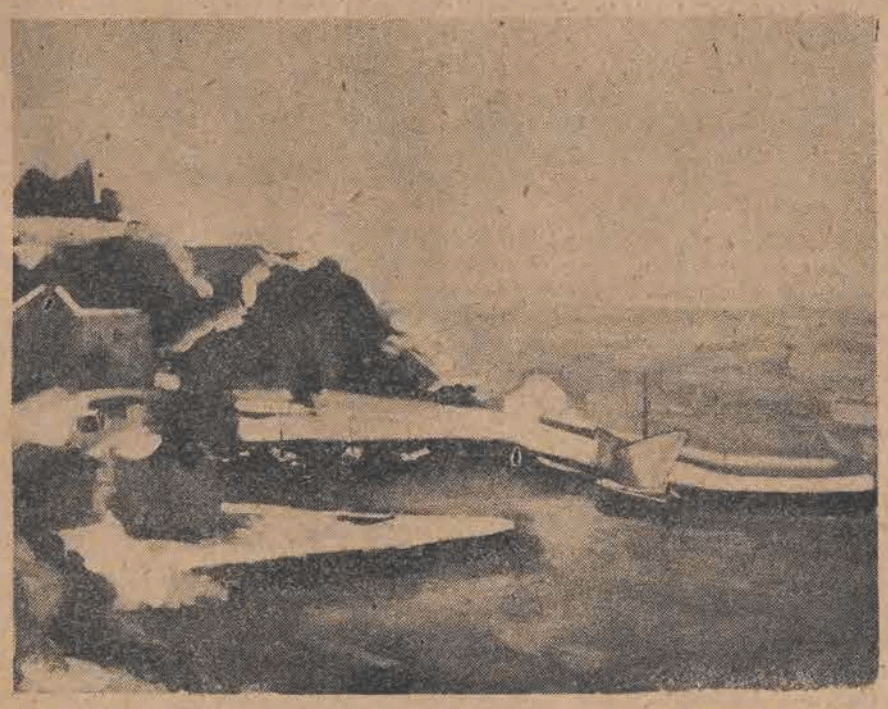

Rudolf Kremlička — Wybrzeże morskie

Josef Čapek — Kobieta z kartoflami

KAZIMIERZ BRANDYS

SAM

(Ciąg dalszy)

JAKUB ludziom w Warszawie nie ufał. Na ulicy trzymał się blisko muru, żeby nikomu nie wejść w drogę. W jego mieście były dobrze znane szlaki: z domu do szkoły, ze szkoły do parku i z parku do domu, na Łąkową. Tu, w Warszawie, łatwo można zginąć. Ludzkie twarze są zbyt do siebie podobne. Jakub lękał się tłumu, który ma jedną twarz, o zimnych szklanych oczach.

— Nie dobrze — narzekał Artur Joas — Gold, mówię ci, nie jest dobrze. A będzie jeszcze gorzej. Mój żydowski nos czuje w powietrzu grad. — Joas był studentem medycyny od pięciu lat, niedługo miał zostać doktorem. Uważał się za sceptyka i lubił patrzeć na świat przez czarne okulary. Przyczyną tego pewnie był jego garb oraz ogniska w płucach. Jakub bał się z początku jego czarnych paznokci i chudej białej twarzy, ale potem okazało się, że Joas jest dobrym człowiekiem; pomagał Jakubowi w nauce, lubił też przed nim narzekać na swoje życie, które istotnie było ciężkie. Joas miał bogatego wuja na Bonifraterskiej i w nocy pilnował jego sklepu, za co w dzień dostawał obiad. Kiedy mu rano oddawał klucze, wuj przemawiał do niego w ten sposób: — Nie jest dobrze, Arturze, jeżeli człowiek ma tylko jedną zaletę. Jest bardzo źle, jeżeli tą jedyną zaletą jest uczciwość. A już zupełnie źle, jeśli ten człowiek jest Żydem i dźwiga na plecach to, co ty dźwigasz, Arturze. Opowiadając o tym Joas śmiał się złośliwie, po czym krztusił się kaszlem i pluł w brudną chusteczkę. — On mną pogardza — syczał — za brak ambicji. Mógłbym go ograbić, ale czyby mi się chciało? On ma rację, ja przecież nawet w tym nie mam ambicji.

— Gold — powiedział mu pewnego razu — mój nos czuje nieszczęście. Ja z tym pakunkiem na plecach niewiele mam do stracenia, ale ty musisz się ratować. Gold, uciekaj stąd. Czy ziemia nie parzy ci stóp, czy nie czujesz, że stąpasz po prochu?

Ale Jakub odrzekł, że ziemia nie parzy mu stóp i że musi zostać lekarzem, aby utrzymać matkę. — Na Łąkowej jest spokojnie — dodał — po co mam uciekać? — Wtedy Joas zamyślił się i spytał, czy Jakub nie jest bogaty. — Nie — odpowiedział Jakub. Rzeczywiście nie był bogaty. Z tego, co zostało po ojcu, będą mogli żyć najwyżej parę lat. — To gorzej — mruknął Joas — Żyd bez pieniędzy jest jak kurz na drodze i gna go byle wiatr.

Jakub w Warszawie żył sam i prócz Joasa nie spotykał nikogo. Joas także miał niewielu przyjaciół; mówił, że jego garb zastępuje mu żonę. Obaj byli samotni i to ich pewnie zbliżyło. Nie wiadomo kiedy i jak stali się parą przyjaciół. Gorzka to była przyjaźń. Joas uskarżał się na swoje płuca i opowiadał Jakubowi, jak wuj z Bonifraterskiej okradł jego ojca ze spadku. Jakub milczał kiwając głową, a Joas mówił: — Jego starszy syn studiuje w Anglii. Jego młodszy syn studiuje we Wiedniu. Jego córka umie na pamięć francuskie poezje. I to wszystko za moje pieniądze, Gold. — Jakub zapytał, czy Joas nie zjadłby kawałka kury, którą matka przysłała Jakubowi. Joas odpowiedział, że owszem, zje skrzydełko, chociaż to nic nie zmieni w jego sytuacji, ale jest mu już wszystko jedno. Rozrywał więc skrzydełko chudymi palcami, a potem zjadał jeszcze pierś, sycząc z nad talerza: — Za moje pieniądze... Czy ty to rozumiesz, Gold? — Jakub potrząsał głową i marszczył z przejęciem brwi. Taka była ich przyjaźń. Często widywałem w owym czasie tę parę przyjaciół w drodze na wykłady. Pod koronami wysokich kasztanów szli obok siebie — ciężki kudłaty Jakub Gold i mały garbus Artur Joas. Obydwaj byli bardzo czarni.

Pewnego dnia Jakub szedł na wykład i przed bramą uniwersytetu zobaczył tłum. Słychać tam było wrzawę i gwizdy, żółte laski błyszczały w słońcu; różowe, zielone i białe czapeczki studentów zakwitły na rogach ulic, to był ciepły, jesienny dzień, drżały gałązki drzew, miasto pachniało wilgocią jak łąka. Jakub zatrzymał się i patrzał bez ruchu przed siebie. Węszył powietrze, z głową wysuniętą naprzód, myśląc: — Dobrze, że nie ma tu Artura Joasa, któremu raz studenci laskami zbili garb. — Tłum przed bramą rósł, dolatywały stamtąd krzyki, śmiechy i śpiew, a tramwaje dzwoniły, bo studenci wylewali się na jezdnię. Jakub stanął pod słupem przystanku i wmieszał się w grupkę przechodniów. Ktoś zajrzał mu w twarz i powiedział: — Niech pan stąd odejdzie, będą bić. — Wtedy Jakub skurczył ramiona i nasunął sukienny daszek cyklistówki głęboko na oczy. — Na pewno będą bić — usłyszał po raz drugi, więc odszedł parę kroków i schował się w bramie. Z gmachu Komendy wynurzył się granatowy oddział policji. Policjanci powoli rozsypali się po rogach, cienki komisarz w binoklach spacerował przed gmachem, nad nosem błyszczały mu szkła. Wrzawa ucichła trochę, Jakub chciał zobaczyć, co się stało, ale wylot bramy zasłoniły granatowe plecy policjanta, z różowym karkiem i białą pałką kołyszącą się na zadzie. Zobaczył tylko otwarte okno w kamienicy naprzeciw i dwie dziewczyny w bluzkach, wychylone i objęte w pół. Jakub zdjął czapkę; usiadł na schodku w bramie. Podwórze było długie jak ulica i ciemne. Tutaj także z okien wychylały się głowy, bo półnagi mężczyzna w trykocie walił w bęben, a stara kobieta w czerwonych spodniach przebijała szpadą swoją chudą pierś. Jakub pomyślał: — Po co ja tu siedzę, przecież muszę już iść. — Wstał, aby wyjrzeć z za pleców policjanta i zobaczył, że z tłumu czapek pod bramą wyrosła nagle jedna, bo podniesiono na ramionach rumianego studenta w rogatywce na bakier. Jakub znów włożył czapkę i patrzał. Student był już wysoko, uczepił się lewą ręką sztachet i zaczął krzyczeć do tłumu wymachując prawą w skórzanej rękawiczce. Jakub cofnął się do bramy. Bęben huczał w podwórzu, a kobieta na dywanie robiła salto mortale; Jakub widział naprzemian jej twarz siną z wysiłku, czerwone spodnie, ostry nos, chudą szyję z kosmykami włosów, potem znów spodnie, pierś i nos. Mężczyzna wywijał gołymi ramionami jak wiatrak, bił w bęben i wołał: — Ludzie, patrzcie! — Później zamilkł, zdjął czapkę, wówczas Jakub usłyszał z ulicy krzyk: — Żydowskie trupy do prosektorium! Żydowskie trupy! Żydowskie trupy! Przylgnął do ściany i wychylił głowę na ulicę. Tłum zalał jezdnię, podniesione laski chwiały się nad czapkami, było tam słonecznie, kolorowo i rojnie. Dorożka nie mogła przejechać, koń wykręcał łeb, a gruby pasażer w meloniku stał za plecami dorożkarza z przestraszoną miną. — Otwórzcie bramę! — wołał blondynek uczepiony sztachet do woźnych pilnujących wejścia. — Precz z zawieszeniem wykładów! Żydowskie trupy do prosektorium! Jakub pomyślał: — Zawiesili wykłady, więc nie mam po co się śpieszyć. — Podniósł wzrok ku dziewczynom w oknie, które patrzały z rękami przy oczach, bo świeciło słońce. — Nie pokazuj się pan — mruknął ktoś za Jakubem. Jakub odwrócił głowę i zobaczył człowieka w trykocie, który stał za nim z bębnem przewieszonym przez plecy. Na jego piersi błyszczał pot, na nagim ramieniu miał niebieską kotwicę. Odsunął Jakuba i wyszedł na chodnik, potem powiedział do kobiety: — Chodź. — Kobieta w spodniach uśmiechnęła się do Jakuba umalowaną starą twarzą. Szepnęła: — Niech się pan nie boi. Nie znajdą tu pana. — Mężczyzna powtórzył: — Chodź. — Wyszli, policjant popatrzył za nimi i skrzywił się.

— Żydowskie trupy... — syczał Joas, gdy Jakub powiedział mu wieczorem, co się działo tego dnia. — Gold, jak myślisz, czy ja wierzę w Boga? Nie wiesz, więc słuchaj, co ci powiem: z tym, co ja dźwigam na plecach, trudno jest wierzyć w Boga, ale mnie przecież wszystko jedno, więc czasem myślę: a może jednak? I wtedy obliczam, Gold, że od stworzenia świata żyło już pewnie parę miliardów takich jak ja, z takimi plecami jak ja, i że człowiek jest jak ziarnko piasku. Pytam ciebie, Gold, jakie znaczenie może mieć Bóg dla ziarnka piasku? Czy ziarnko może być dobre albo złe? Szczęśliwe albo nieszczęśliwe? Żydów już męczą, Bogu dzięki, od pięciu tysięcy lat i będą męczyć drugie pięć tysięcy. Czy myślisz, że Bóg patrzył z nieba na mojego wuja, kiedy kradł spadek? Może obaj po śmierci zamienimy się w gwiazdy i będziemy do siebie mrugać, a wtedy mój garb i jego sklep przestaną się w ogóle liczyć. Obydwaj jesteśmy czarni i mamy duże nosy. Kto wie, Gold, czy to nie jest najważniejsze? Czy im zależy na żydowskich trupach w prosektorium? Im zależy, żeby męczyć żywych Żydów. Dowiedzieli się, że żydowska religia nie pozwala krajać żydowskich trupów, więc zaraz chcą kraiać żydowskie trupy. Jaki stąd wniosek, Gold? Taki wniosek, że my nie mamy żadnego wyboru. Mój wuj jest bogacz, a ja mam tylko garb. Ale on codziennie daje mi obiad, nie powiem, żeby tłusty, ale obiad. A co oni mi dadzą? Laską przez plecy, Gold.

Tak uczył Jakuba Artur Joas. Siedział na wysoko zaścielonym łóżku, a jego stopy nie dotykały posadzki. Jakub patrzył uważnie, jak Joas wylicza na swoich cienkich palcach wszystkie nieszczęścia, które grożą Żydom, i potrząsał głową ze skupieniem.

Nie był to już ten sam Jakub Gold z Łąkowej, zmieniła mu się natura, niepokój przyćmił jego oczy. Często miewał złe sny i zrywał się wówczas z łóżka, słysząc własny krzyk. Siadał w pościeli, okryty zimnym potem, i oglądał swoje nagie ciało, jakby szukał w nim ciemnych zagadek, które ukazała mu noc. Ale za oknem niebo już bladło i zaczynał się świt, więc Jakub kładł głowę na poduszkach, bo wiedział, że dla zdrowia potrzebny jest mocny sen.

Po takich nocach wstawał posępny, jak gdyby jego złe sny zmieniały się w złe myśli. Zgrubiała mu fałda nad nosem, a zmarszczka między brwiami była głęboka jak źle zarosła blizna. Jakub szedł na ulicy powoli, ze wzrokiem wbitym w ziemię i głowę ciężką od myśli miał nisko pochyloną. Widziałem kiedyś na wsi cygana z kudłatym niedźwiadkiem; wlókł się na łańcuchu i trzymał nisko czarny łeb, a jego oczy były zmęczone i smutne. Tak samo wyglądał Jakub, gdy szedł ulicą Świętokrzyską, stawiając krótkie grube nogi stopami ku sobie.

Kiedy matka przysłała mu pieczoną kurę, odpisał jej: „Moja droga mamo, Dziękuję ci za kurę, która była tłusta i smaczna. Twój Jakubek zjadł ją całą, aż uszy mu się trzęsły. Jest mi tu dobrze, dużo się uczę i zaprzyjaźniłem się z Arturem Joasem. Ale dlaczego nie piszesz mi nic o Łąkowej? Czy myślisz, że nie tęsknię za Tobą? Przeciwnie, bardzo tęsknię i niepokoję się, czy nie masz zmartwień i czy nie zapomniałaś o swoim Jakubku".

Mógłby ktoś pomyśleć, że ten list napisał dawny Jakub Gold, ale omyliłby się. Ułożył tak słowa naumyślnie, żeby oszukać swoją matkę. Matki nie powinny wiedzieć o zgryzotach synów, kiedy synowie poznają świat.

Ulica Łąkowa, gołębie i park pogrążały się coraz niżej za porzucony próg w pamięci Jakuba. Jego miasto wydawało mu się teraz miastem z dziecinnych bajek i czasem odwiedzało go w snach: szumiący park ze strzelnicą, biały gmach szkoły, dym nad dachami, jak z cygar, niebo z czerwonym kominem i żółtą wieżą katedry. W tym mieście śnił mu się mały Jakubek Gold płoszący gołębie z dachu. Jakub wyciągał wtedy ręce, jakby ujrzał we śnie kogoś, kto nie żyje.

— Artur Joas ma rację — myślał pewnego razu: — W powietrzu wsi grad. — Wydawało mu się, że oczy ludzkie, które na niego patrzą, są ołowiane jak chmury.

Zmieniło się coś w Jakubie od pewnego czasu: łamał sobie teraz głowę nad sprawami, o których przedtem nigdy nie myślał. Na Łąkowej wszystko zdawało się proste: nad łóżkiem Jakuba wisiał Kościuszko i książę Józef, w czwartej klasie nosił pod koszulą miedziany medalion z Piłsudskim i od kolegów różnił się tylko tym, że w Sądny Dzień nie przychodził do szkoły. To było zrozumiałe i proste. Berek Joselowicz zginął pod Kockiem, Józef Berkowicz, jego syn, był pułkownikiem ułanów, a student Landy ze szkoły rabinów podniósł krzyż, który wypuścił ksiądz zabity przez kozaków podczas patriotycznej manifestacji. Jakub nigdy się nie zastanawiał, czy to, co robił Samson lub Machabeusze, godziło się z czynami Sobieskiego pod Wiedniem i szwoleżerów w wąwozie Somosierry. Sprawa zdawała się prosta, bo jedno nie mogło przeszkadzać drugiemu. Czy on, Jakub, gdyby wybuchła wojna, nie walczyłby pod Kockiem, jak Berek Joselowicz? Gdyby tylko wybuchła!

Ale nie chciała wybuchnąć. Przeciwnie, na rogach ulic stali młodzi ludzie i sprzedawali gazety, które zachęcały przechodniów do tego wszystkiego, co Hitler w Niemczech uczynił z Żydami. Przeciwnie, Żydów bito na ulicy w biały dzień i nikt się za nimi nie wstawiał, a raz poturbowano siwego profesora, który zasłonił sobą Artura Joasa, gdy znów go napadli na dziedzińcu i chcieli zbić mu garb. Co gorzej, podobno ludzie porządni twierdzili, że dla wspólnego dobra Żydzi powinni opuścić polski kraj. Jakub powoli zrozumiał, że nie jest tu nikomu potrzebny i że jedynym człowiekiem, który uważa, że Polska to jego ojczyzna, jest on sam, Jakub Gold. — Zabiją mnie albo na ręce założą kajdany — myślał czasem i zaczął się bać.

Już dawno nie widział matki. Przed Bożem Narodzeniem napisał do niej list: „Moja kochana mamo! Zbliżają się święta i będzie przerwa w wykładach, ale czy bardzo się zmartwisz, jeżeli ci napiszę, że Twój Jakubek nie przyjedzie do Ciebie tym razem? Zaraz po feriach mam ważny egzamin i całe święta spędzę na nauce z Arturem Joasem, moim przyjacielem, który mi pomaga. Przyjadę do Ciebie na Wielkanoc i wtedy wszystko mi opowiesz".

Ten ważny egzamin musiał zdawać trzy razy, tak trudno szła mu nauka. Joas często cmokał wargami i wzdychał nad tępą głową Jakuba: — Czy ty na pewno jesteś Żydem, Gold? Pierwszy raz w życiu widzę coś podobnego. — Wtedy Jakub pochylał się nad książką i wbijał oczy w druk. Miał słabą pamięć, ale jego upór był mocny. — To cię może uratuje, Gold — pocieszał go Joas — jesteś twardy jak kamień.

Pewnej niedzieli, gdy Jakub mruczał pod nosem to, czego nauczył się w nocy, a Joas siedział na łóżku i zadawał pytania, rozległ się dzwonek u drzwi i po chwili obydwaj usłyszeli głos: — Czy tutaj mieszka Jakub Gold? — Głos był znajomy; Jakub drgnął i podniósł głowę. Ogarnął go na sekundę szum parkowych drzew i okrzyki dzieci w ciepłym różowym zmierzchu. To była pani Rozen, zajęła sobą całe drzwi. Jakub patrzył na nią poruszając ustami i milczał.

Czuł jak przez sen, że całuje go w czoło, i słyszał, jak narzeka swoim grubym głosem na pokój, który był zimny i brzydki, i na niego, Jakuba, że schudł, sczerniał i nie strzyże włosów. Krzyczała: — „Wyglądasz jak Padarewski! — Zawsze mówiła: „Padarewski", „Czartoryjski" i „miejso" zamiast mięso. Nie można jej było poprawiać, bo obrażała się. Powiedziała do Joasa: — Nasz Jakub, mała rzecz... — a Joas pokiwał głową ze zwykłym sceptycyzmem. — Moja matka... — szepnął Jakub i wysunął głowę patrząc na nią spod brwi. Odparła, że jego matka ma się dobrze, ale że on dużo ją kosztuje i kto wie jak długo da radę.

— Ona jest kozak — wołała do Jakuba. — Mówiłam jej: pani Gold, w pani wieku trzeba się szanować, zrywa pani sobie serce chodzeniem po piętrach, niech pani zostawi te cukierki, czy Jakub musi być doktorem, niech założy sklep, dam pieniądze i wejdę do spółki. Ale ona mi na to, że Jakubek będzie leczył pacjentom płuca na Łąkowej, bo sklep może mieć byle kto, a jej syn nie jest byle kto i ma przed sobą przyszłość. Co pan o tym powie? — zwróciła się do Joasa — Przyszłość! Czy sklep to nie jest przyszłość?

— Jest przyszłość i nie jest przyszłość — odpowiedział Joas. Pani Rozen zirytowała się: — Nie rozumiem! Czy Jakub musi być zaraz drugi Rockefeller? Dam pieniądze i wejdę do spółki. Na sklep dam, na medycynę nie dam. Medycyna to nie jest dziś zawód dla Żyda. Pan nie wie co się dzieje? Może za rok albo za dwa pozwolą praktykować tylko z nazwiskiem na ski. Już dziś nigdzie ich nie dopuszczają. Lekarz? Adwokat? Lepiej zamiatać ulice! Podobno w Niemczech żydowscy lekarze już zamiatają ulice. Sklep to co innego! Nie mówię zaraz: „Bracia Hirszfeld", ale porządna owocarnia w dobrym punkcie.

— Przepraszam — odezwał się Jakub — nie rozumiem. Pani mówiła o cukierkach. Co to za cukierki?

— Sprzedaje cukierki po domach — poinformowała dokładnie — bo tych akcji po ojcu nie starczy na długo. Kurs spadł.

— Kurs spadł... — powtórzył Jakub i zamknął oczy.

SOŃ

— Ma znajomego w hurtowni. Daje jej cukierki po hurtowej cenie, więc zarabia na tym parę groszy dziennie. Czy ty jesteś dziecko, mój Jakub? Studia, sześć lat, Warszawa, dwa domy, na to trzeba pieniędzy. Ona jest kozak, ale ty wiesz ile pięter kosztuje ją jedno kilo? Schudła i jest mała jak mysz.

— Jak mysz... — szepnął Jakub. — Co pani mówi, pani Rozen...

— Radzę ci dobrze — krzyczała machając ręką. — Załóż sklep! Dam wam pieniądze i wejdę do spółki, będziecie mieli spokój. Zanim ty wyleczysz pierwszego pacjenta, trawa trzy razy wyrośnie na jej grobie. Niech pan mu wytłumaczy, że stara Rozenowa ma rację!

— Ma rację i nie ma racji — powiedział Joas kołysząc głową. — Sklep dziś jest, a jutro go nie ma. Bo jutro mogą rozgrabić towar, a pojutrze mogą zamknąć żydowskie sklepy. Dziś ogłosili bojkot, jutro ogłoszą rabunek, a pojutrze mord. Czy to jest przyszłość? Tymczasem lekarzowi wystarczą dwie ręce i głowa. Ludzie chorują. Bogu dzięki, i nie chcą umierać. Żydzi są wszędzie i chorzy są wszędzie. Nie pozwolą leczyć tutaj, to pojedzie do Ameryki, nie pozwolą w Ameryce, to pojedzie do Chin.

— Czy bardzo zmizerniała? — mruknął nagle Jakub — czy jest już zupełnie siwa?

— Dlaczego zaraz rabunek? Dlaczego zaraz mord? — złościła się pani Rozen. — Żydzi to takie drzewo, że lada wiatr go nie złamie. Kto ma pieniądze, temu się kłaniają. Żyd z pieniędzmi wejdzie na królewski dwór. Z Żydami jeszcze nikt nie wygrał, nawet Bismarck podobno tak powiedział. Dlaczego zaraz mord? Czy wszyscy Polacy są źli? Czy Jakub nie miał dobrego kolegi, który mu pomógł w nieszczęściu? Przecież twoja matka mi opowiadała: „Ten Tolo Szarlej to dobry chłopiec i wielki przyjaciel Jakuba". Jakubie, powiedz temu panu, czy to prawda!

— To prawda — powiedział Jakub.

— No? — Rozenowa poprawiła się na krześle z triumfem — Tolo Szarlej? Mała rzecz... A czy takich nie ma więcej?

— To ty, Gold, miałeś przyjaciela? — zapytał Joas z łóżka. — A nic mi o nim nie mówiłeś. Więc miałeś przyjaciela... I gdzie on teraz jest, Gold?

— W Warszawie — odrzekł Jakub.

Joas cmoknął wargami i powtórzył: — W Warszawie... To pewnie go często widujesz, pewnie przychodzi do ciebie, Gold?

— Nie — szepnął Jakub, nie patrząc w oczy Joasa.

Joas uśmiechnął się kołysząc swoją chudą głowę: — No tak...

Tak więc po raz pierwszy od wielu miesięcy Jakub rozmawiał o Tolu. Ale myślał o nim często od chwili pożegnania na Łąkowej. Potem widzieli się tylko raz: kiedy Tolo przyjechał do miasta na Boże Narodzenie. Miał obcisły mundur, czapkę z czerwonym otokiem, opalone ręce, ciemną twarz. Mówił głośno i prędko, był jakby roztargniony i po dziesięciu minutach powiedział: — No, na mnie czas. Trzymaj się Jakubku, przyjadę na Wielkanoc. Kiedy wychodził, oczy mu błysnęły spod okutego daszka; uśmiechnął się od drzwi, ale Jakub pomyślał, że ten uśmiech dotyczy jakichś nowych nieobecnych spraw. Czy to była przyjaźń? Potem Tolo przyjechał na Wielkanoc do miasta, ale nie przyszedł już do Jakuba. Jakub martwił się: — Może zrobiłem mu przykrość. — A przecież nie wiedział, jaką przykrość mógł mu zrobić.

Po maturze napisał list do Grudziądza: „Kochany Tolu! Zdałem wszystkie egzaminy i na jesieni wyjeżdżam do Warszawy. Przez ten rok postępowałem tak jak mi radziłeś. Teraz chcę się zapisać na uniwersytet, żeby studiować medycynę. Czy przyjdziesz do mnie w Warszawie? Moja matka pozdrawia cię i ja także. Twój Jakub Gold".

Tyle tęsknoty miał w sercu, a jednak nie umiał napisać nic więcej. I pewnie dlatego na list nie przyszła odpowiedź. Tolo nie zjawił się na Siennej, chociaż był w Warszawie od jesieni i studiował prawo. Pewnego dnia na dziedzińcu uniwersyteckim Jakub szedł z Joasem pod kasztanami i zobaczył z daleka Tola. Stał przed biblioteką z ładną wysoką studentką, odwróconymi plecami do Jakuba, oświetlony słońcem, bez palta, z kapeluszem w ręku. Jakub drgnął i zatrzymał się. Poznał go od razu po pochyleniu głowy i po oczach tej dziewczyny, która patrzyła na niego tak samo, jak niegdyś Beata w tańcu. — Wróćmy — powiedział do Joasa. Joas zaniepokoił się: — Czy będą bić, Gold? — Jakub pochylił głowę i powtórzył: — Wróćmy. — Czy mógł powiedzieć Joasowi, że stoi tam Tolo Szarlej i że on, Jakub, nie chce mu pokazać swego garbatego przyjaciela, Artura Joasa?

Warszawa, to kilka miast i łatwo się w niej zgubić. A przecież nawet tam człowiek spotyka człowieka i pozna w tłumie zapomnianą twarz. Nazajutrz po wizycie pani Rozenowej Jakub spotkał Tola na Krakowskim Przedmieściu. Jakby rozmowa o nim, jego imię, które wymówił po tak długim czasie, przywołało twarz i oczy Tola. Widocznie trzeba wymawiać imię przyjaciela, skoro się pragnie go spotkać. Padał deszcz, cienie chmur płynęły po mokrych chodnikach, Jakub szedł przed siebie w czapce wciśniętej na oczy i nagle na ramieniu poczuł czyjąś rękę. Wtedy zatrzymał się chowając głowę w kołnierzu. Znajomy głos powiedział: — Więc to jednak ty, Jakubie. Wszędzie poznałbym twój kudłaty łeb. Pokaż się i powiedz, czy pamiętasz mnie jeszcze. — Pamiętam cię, Tolu — odpowiedział Jakub przymykając oczy.

— Zmieniłeś się, wychudłeś. Wyglądasz jak stary zmokły pies. Pamiętasz Bałturyna? Wydaje mi się nieraz, że od tych czasów upłynęło sto lat. — Tak, to było dawno — uśmiechnął się Jakub i pochylił głowę. Tolo milczał patrząc na niego z namysłem. — Dostałem twój list. Przyszedłbym do ciebie, ale zgubiłem twój adres, a zresztą to stare szkolne lata. Człowiek podziewa je nie wiadomo gdzie, jak mleczne zęby. Czy dobrze idą ci studia? Pewnie niedługo zostaniesz doktorem? — Nie — odrzekł cicho Jakub. Tolo zdziwił się: — Nie rozumiem. Przecież chyba nie mylę się, chciałeś studiować medycynę... — Tak — kiwnął Jakub. — Więc? — Oczy Tola patrzyły na niego spod szarego ronda, z którego kapał deszcz. — Moja matka nie ma pieniędzy. Będę musiał przerwać studia i założyć sklep. — Tolo cofnął się o krok. — Sklep? — szepnął — jaki sklep? Co ty mówisz Jakubku? — Może owocarnię — wytłumaczył Jakub — niedużą owocarnię w dobrym punkcie. — Byli już obydwaj mokrzy, duże krople spływały po twarzy Jakuba. — W dobrym punkcie... — powtórzył Tolo. — Słuchaj, Jakubie, ja mam niewiele czasu, ale chodź ze mną, tutaj niedaleko, napijesz się czegoś gorącego.

Popchnął go przed siebie. Jakub nie opierał się. Szli szybko, pochyleni, bo deszcz ciął w twarz. — Tutaj — Tolo wskazał wejście do cukierni. Ogarnęło ich ciepło i dym. Jakub stanął w progu i zawahał się. Trzej młodzi ludzie z długimi kijami w rękach spojrzeli na niego. Jakub chciał się cofnąć. — Jest druga sala — powiedział Tolo. Słychać było stuk bilardowych kul. — Dzień dobry Szarlej — zawołał jeden z graczy i potrząsnął kijem — Partyjka? — zapytał, wyciągając rękę powalaną kredą. Tolo odpowiedział: — Kiedy indziej — i pokazał Jakubowi oczami boczną salę. Było tu ciszej i prawie pusto. Jakub usiadł przy stoliku, ze wzrokiem utkwionym w serwecie. — Zdejm czapkę — powiedział Tolo; Jakub zdjął czapkę. Milczeli długą chwilę, słychać było kapanie deszczu, Tolo bębnił palcami po skraju stolika.

— Więc z tobą tak, Jakubie... — odezwał się wreszcie. — Kto by pomyślał, Jakubek Gold chce założyć sklep. Niedużą owocarnię w dobrym punkcie. Patrzcie patrzcie.

— Ja nie chcę — szepnął Jakub — ale co mam robić, medycyna trwa sześć lat, a moja matka nie ma już pieniędzy. Więc muszę założyć ten sklep

Tolo patrzył z roztargnieniem i Jakub widział jego szczupłe palce poruszające się szybko po krawędzi stolika.

— A gdzie ty chcesz założyć ten sklep?

— Może na Łąkowej... — powiedział Jakub — to także dobry punkt.

Z drugiej sali dobiegał stuk bilardowych kijów, a kiedy otwierały się drzwi, słychać było dzwonienie tramwajów w wilgotnym powietrzu. Deszcz ucichł i rozjaśniło się trochę. Tolo siedział na wprost okna, więc Jakub widział teraz dokładnie jego twarz. — On także się zmienił, nie tylko ja. Koło ust ma bruzdę, a lewa brew drga mu bardziej niż przedtem. Czy to jest naprawdę Tolo Szarlej? Jego twarz jest dziś mniej jasna, niż wtedy w gimnazjum. Może jest nieszczęśliwy? Przecież nie wiadomo co trapi człowieka i jaki robak go żre. — Tak myślał Jakub patrząc w oczy Tola, w których zobaczył znużenie i niepokój. Chciał dotknąć jego ramienia, ale cofnął się, bo wełna marynarki, którą nosił Tolo, była jasna i miękka, więc Jakub przeląkł się, że ją pobrudzi. Schował ręce pod stół i oglądał dłoń Tola, z papierosem między wskazującym a serdecznym palcem, z płaskim zegarkiem na przegubie. — Dłonie ma takie same — pomyślał Jakub — różowe, wąskie i mocne. To się nie zmieniło.

Tolo odgarnął z czoła pasmo włosów, które mu się zawsze rozsypywały, bo były zbyt suche. Podniósł przy tym dłoń gestem, jakim zwykle zasłania się oczy i Jakub znów pomyślał, że to się także nie zmieniło, znał przecież ten gest. Trochę się tym wzruszył i zaplótł ręce pod stołem; potem usłyszał, że Tolo go pyta, czy nie ma zamiaru wyjechać z Polski i szukać szczęścia w świecie. Nie od razu odpowiedział na to pytanie, bo bardzo go zdziwiło, lecz wkrótce zebrał myśli i rzekł: — Moja cała rodzina urodziła się w P. Ojciec, matka, dziadkowie i ich rodzice. Mało ruszali się stamtąd. Dlaczego ja mam wyjeżdżać? — Tolo spojrzał na niego z roztargnieniem i powiedział: — Tak, tak. — Jakub zrozumiał, że on nie usłyszał jego odpowiedzi, więc zasmucił się i westchnął w duszy: — To już nie jest dawny Tolo Szarlej. Zmienił się. Szkolne czasy powinny trwać pięćdziesiąt lat.

Lecz Tolo odezwał się po chwili. — Wiesz Jakubie — powiedział — to dobrze, że założysz ten sklep. Na uniwersytecie, z twoim wyglądem, nie daliby ci żyć. Założysz sklep i będziesz miał spokój. — On ma rację — pomyślał Jakub — założę sklep i będę miał spokój. A jednak Artur Joas jest innego zdania. — Słuchał teraz Tola jakby we śnie i kiwał głową w takt jego gestów, patrząc na zmianę w jego niebieski krawat z wąskim węzłem, biały rożek chusteczki w kieszonce lub spinkę u mankietów. Nie wszystko rozumiał, co mówił Tolo, ale trochę zostało mu z tego w pamięci. Czasem przymykał oczy i potrząsał głową, jak gdyby jakieś zdanie wydawało mu się bardziej słuszne niż inne. Tolo zapytał go, czy pamięta stryja Beaty, generała Orlę. Jakub oczywiście pamiętał. Wtedy Tolo zniżył głos i szepnął że on, generał Orło, ma wkrótce objąć władzę w kraju. — O... — odpowiedział Jakub i zrobił minę pełną podziwu. — Pochyl się do mnie — rzekł Tolo. Błyszczały mu oczy i mówił prędko, patrząc ponad ramię Jakuba. A więc Piłsudski na łożu śmierci wyznaczył generała swym następcą, ale testament został sfałszowany przez klikę i generał odsunięty za pomocą intryg. Jakub czuł ciepły oddech Tola przy swoim uchu i potakiwał nie przerywając. — Teraz on znów, dzień po dniu, odzyskuje wpływy. Ja to wiem, bo stoję blisko tych spraw i widuję go. Rozumiesz? — szepnął Tolo. Jakub zmarszczył czoło z wysiłkiem i odpowiedział, że rozumie. Więc Tolo tłumaczył dalej w szybkich krótkich zdaniach, połykając końce słów: że za generałem stoi dziś cała młodzież, opętana szowinizmem, młodzież która szuka wodza, aby weń uwierzyć. Ale co więcej, stoi za nim potężny klub polityczny, klub 13-go Maja. Zasiadają w nim ludzie niegdyś najbliżsi Marszałka. Na wiosnę ten klub obejmie władzę w Polsce. Wówczas trzeba będzie rzucić ochłap młodym kłom. — Młodym kłom... — szepnął Jakub. — Tak — powiedział Tolo i zakończył z naciskiem: — Stoję blisko tych spraw. Rozumiesz. Jakubie? — Rozumiem, Tolu — powtórzył Jakub — ale co ja mam robić?

Tolo zdziwił się i podniósł brwi. Spojrzał na Jakuba z namysłem, jakby chciał sobie przypomnieć jego imię. Jakub patrzał mu w oczy z lękliwą nadzieją, ściskając ręce pod serwetą. Wtedy Tolo zapalił papierosa i powiedział, że nie ma pewności, czy sytuacja Żydów w Polsce nie ulegnie na skutek politycznych wstrząsów zasadniczej zmianie; Żydów, a zwłaszcza inteligencji żydowskiej. — Jestem temu przeciwny — rzekł cicho — czasem nawet tym gardzę, Jakubie, ale pora, która nadchodzi, będzie, być może, porą gestu Piłata. — I dodał patrząc na zegarek, że powiedział to wszystko, aby ostrzec Jakuba, dla jego własnego dobra.

Jakub zwiesił głowę i rzekł: — Ja wiem, Tolu. Ale co ja mam robić? I kto mi pomoże? Znam tylko Artura Joasa i panią Rozenową. Artur jest biedny, a pani Rozen chce, żebym założył sklep. Więc co ja mam robić, Tolu? Przecież ja wiem, że w powietrzu wisi grad...

— No, muszę już iść — powiedział nagle Tolo i zawahał się. — Słuchaj, Jakubie, źle wyglądasz, zmarniałeś. Czy ci nie trzeba pieniędzy? Przecież ode mnie możesz wziąć. Szkolne lata, to wiąże na zawsze. Pamiętasz, jak ci dawałem zagraniczne znaczki? Mam ich teraz zresztą w bród. Czy przypominasz sobie Beatę Orlankę? Ona mieszka już od roku w Paryżu i mój brat, Julian, pisał mi, że jest bardzo piękna. Weź to, Jakubie, i bądź mądry. Do widzenia, muszę już iść.

Śpieszył się i zapinał płaszcz. Jakub siedział pochylony nad stolikiem, z dłońmi rozpłaszczonymi na kolanach. Powiedział: — Do widzenia, Tolu.

Siedział tak jeszcze godzinę, ze wzrokiem utkwionym w serwecie, słuchając gwaru z bilardowej sali i szumu aut z ulicy. Po godzinie kelnerka zajrzała mu w twarz i powiedziała grzecznie: — Czy panu jeszcze kawy? — Jakub przeląkł się i mruknął: — Tak. — Przyniosła mu filiżankę, znowu przesiedział nad nią godzinę, aż odgłosy bilardu w bocznej sali ucichły, a na ulicy ustał ruch. Wtedy wstał, nałożył czapkę i wyszedł z cukierni. Było późno, zapadał zmierzch. Okna zapalały się w domach.

Kiedy czas zbliża nas do nieszczęścia, ma szybkość piorunu i siłę wezbranych wód. Droga jest wtedy jedna i trudno z niej zboczyć. Niewidzący, bezradni, posłuszni, kroczymy po niej do końca, a tam, u kresu tchu, czeka nas ulga i zdziwienie, że już się wszystko stało. Człowiek ocalały cudem spod trzech zwalonych pięter powiedział: — Kiedy rozległ się świst i wszystko zamknęło się nade mną, ujrzałem całe moje życie, jak długi zielony wąwóz, wiodący prosto do tego domu. — Siły, jakie wiodły Jakuba Golda do wysokiego domu, w którym odpocznie wkrótce, były potężne. Dawno zbierały się nad jego głową. Nie oprą im się jego ramiona, mocniejsze niż pień dębu, ani plecy twarde jak taran. Posłuszny, uległy, milczący, wędrował Jakub na spotkanie dnia, który ukaże mu przebytą drogę.

Nazajutrz wstał wcześnie i umył się w blaszanej miednicy, zmywając wodą pierś, ramiona i kark. Potem wycierał się przed lusterkiem, a kiedy już był suchy, stał długą chwilę, patrząc we własne odbicie, jakby się chciał pożegnać ze swoją śniadą twarzą i włosami czarnymi jak kruk. Ubrał się wreszcie i wyszedł. Przed bramą spotkało go chłodne słońce, zapach dorożek i piekarni, oraz Artur Joas, który właśnie nadchodził, aby pójść z Jakubem na wykład.

— Już gotów, Gold? — Tak — odpowiedział Jakub. Joas miał białą twarz i trociny we włosach, po nocy przespanej w sklepie. — Szukałem cię wczoraj cały dzień — rzekł patrząc do góry, w oczy Jakuba. — W domu, w prosektorium, na wykładach. Gdzieś ty się podziewał? — Jakub mruknął: — Spotkałem kogoś, byłem w cukierni. — W cukierni? — Joas zadziwił się, aż otworzył usta. — Z kim ty byłeś w cukierni, Gold? — Z moim przyjacielem — szepnął Jakub — z Szarlejem. Wypiłem dwie filiżanki czarnej kawy. — Joas patrzył na niego z dołu, jak gdyby skurczony, i poruszał wargami. — Gold — szepnął wreszcie — pójdziemy razem na wykład? — Ja nie idę na wykład — odrzekł Jakub, patrząc w bruk ulicy. Joas cofnął się o krok: — Jak to, Gold? A dokąd ty idziesz? — Jakub przymknął powieki i powiedział wolno: — Nie idę na wykład. Ja idę do sekretariatu odebrać moje papiery. Wracam do matki na Łąkową i założę sklep.

Powiedział Joasowi: — Do widzenia — potem odszedł w stronę Marszałkowskiej. Joas został przed bramą i oparł się garbem o mur. Długo patrzał za Jakubem, mamrocząc coś do siebie; ludzie śmieli się z niego przechodząc.

(dok. nastąpi)

Kazimierz Brandys

MARIUSZ MARGAL

PRZEZ HANOI PŁYNIE RZEKA CZERWONA

Każda sztuka złota przywieziona z Indii, to życie jednego Hindusa i dusza jednego chrześcijanina" (Guez de Balzac — XVII w.).

WSZYSTKO to działo się już dość dawno. W małej sali przy rue Jean de Beauvais w dzielnicy łacińskiej zebrali się Indochińczycy — Annamici — Vietnamczycy (nie rozróżniałem jeszcze wtedy tych pojęć), a choć w Paryżu jest ich zaledwie 3.000, to przecież, gdy zjawili się prawie w komplecie — studenci, naukowcy, artyści — niewielka sala była tak pełna, jak gdyby było ich znacznie więcej.

Działo się to naprawdę dawno. Konflikt, któryś już tam z rzędu zaczął się był właśnie niespodziewanym atakiem w Hanoi dnia 19 grudnia, Mariusz Moutet, minister kolonii (o którym nie wolno powiedzieć inaczej jak: „Minister Francji Zamorskiej", bo Francuzi niezbyt lubią, gdy im się przypomni, że te wszystkie ich zamorskie departamenty, protektoraty czy nawet terytoria „niepodległe", to przecież zwykłe posiadłości kolonialne) wyjechał właśnie do Indochin i anim przypuszczał, że minie indochiński Nowy Rok, przypadający gdzieś w połowie stycznia, że przyjdzie i minie wiosenny czas wielkiejnocy, a zebranie na rue Jean de Beauvais nie straci swojej aktualności.

Ściana, przed którą wzniesiono podium, pokryta była fantazyjnym herbami jakichś indochińskich-annamickich-vietnamskich (nie rozróżniałem jeszcze wtedy tych pojęć) prowincji, a przez całą jej długość sześć sylab określało trzy pojęcia: Doc-Lap, Tu-Do, Hanh Phuc. To znaczyło: Niepodległość, Wolność, Honor. Mówcy wyrzucali rozdzwonione pasma niezrozumiałych słów i moja przewodniczka, skośnooka studentka o śniado-złotej cerze i dwusylabowym, egzotycznym imieniu, objaśniała mi półszeptem, kiedy wyrażali wiarę, kiedy pełni byli nadziei, kiedy mówili o sprawiedliwości. Bo przecież sprawa jest słuszna, nasza sprawa, wołanie o wolność, czyż nie? Na ścianie, obok drzwi wisiała wielka mapa kuli ziemskiej. Krwistym na niej kolorem zaznaczono niewielkie w tej skali Indochiny. Nieznanym językiem prawili mówcy o przelewanej tam krwi. Nie wspominali o Indiach ani Indonezji, nie mówili o Grecji ani o Palestynie. Na mapie tylko Indochiny czerwieniły się kolorem swej flagi i nie umiała się połączyć we wspólny nurt przelewana wszędzie czerwona krew. Pod egidą wolności, równości i braterstwa płynęły z Marsylii oddziały wojskowe na Daleki Wschód.

Wojny właściwie nie ma. Ci ludzie, którzy tam padają i te miasta, które zostają burzone, to po prostu nieporozumienie. W ostateczności konflikt. Zrzadka: starcie militarne. Ale gdzież by wojna! Wojna skończyła się 16 sierpnia 1945 roku, kiedy Tokio podpisało kapitulację a na cesarskim pałacu w Hanoi zawisła flaga wolnego Vietnamu. Partyzanci Ho Chi Minha i żołnierze Czang-Kai-Szeka rozbroili garnizony japońskie, a kiedy wszystko było już załatwione przyjechały wojska francuskie, by objąć w posiadanie, zachować dla republiki, krzewić kulturę i bronić interesów. Potem bohaterscy partyzanci stali się barbarzyńskimi terorystami, na miejscu sztandaru vietnamskiego załopotał trójkolor Republiki i zagrzmiała triumfalnie Marsylianka. W archiwach na Quai d'Orsay kurz przekazywał niepamięci umowy i traktaty.

Sprawa nie była wcale skomplikowana. — Kiedy w r. 1940 Vichy oddało walczącemu po stronie osi Syjamowi część Laosu i Kambodży, a Japończykom tereny strategiczne na budowę lotniczych i morskich baz, kiedy Jego Królewska Mość Narodom Sihanuk, władca Kambodży i Jego Królewska Mość Sisavang Wang, władca Laosu i Jego Cesarska Wysokość Bao Dai, władca Annamu i Jego Ekscelencja admirał Decoux, francuski komisarz federacji Indochin prześcigali się wzajemnie w oddawaniu hołdu Japończykom, wśród trzech narodów pięciu krajów sfederowanych w jedną kolonię zaczął się szerzyć Ruch Oporu. Nasłabszy był w Kambodży. Słaby był w Laosie. Dość mały przecież by po kapitulacji Japonii wygnać z obu tych krajów królów i utworzyć republikańskie rządy. (Równo rok później rząd republiki francuskiej wprowadził Ich Królewskie Moście z powrotem na „wyzwolony" tron). Najsilniejszy był w pozostałych trzech krajach Indochin. Bac-Ky, kraj północy, Tonkin i Trung-Ky, kraj środka, Annam i Nam-Ky, kraj południa, Kochinchina, zamieszkałe przez jednolitą ludność annamicką, o wiele liczebniejszą i stojącą na wyższym poziomie od mieszkańców Laosu i Kambodży, postanowiły wyzwolić się spod panowania swoich rodzimych władców i ich francuskich protektorów i doradców, by zjednoczyć swą rozdzieloną granicami kolonialnej administracji w jedną annamicką ojczyznę. Nazwali ją Viet Nam, co znaczy: Państwo Południa. Wszystkie partie i stronnictwa polityczne i religijne zjednoczyły się w jedną organizację, której nazwa wytyczała cel: Viet Nam Doc Lap Dong Minh — organizacja do walki o niepodległość Viet Namu. Entuzjazmująca się bohaterstwem partyzantów annamickich prasa Francji Wolnej nazywała te organizacje po prostu: Viet Minh, tak zostało.

A więc w sierpniu 1945 roku skapitulowała Japonia i jak w Laosie i Kambodży koronowany władca musiał był opuścić swój pałac. Rozpoczął urzędowanie wyłoniony z czołówki Viet Minhu prowizoryczny rząd Viet Namu z Ho Chi Minhem na czele. Najpierw były same trudności. Na północy Chińczycy. Powstała prochińska partia Dong Minh Hoi, która sprzeciwiała się francuskiej orientacji Viet Minhu. Radio San Frisco zaczęło nadawać audycje w języku annamickim. To Ameryka sięgała po kauczuk Indochin. Na południu Anglicy mieli swoje interesy. Indochiny są dobrym zapleczem niespokojnej Birmy i Malakki. — A w lutym 1946 r. generał de Gaulle przypomniał sobie, że właściwie Francja jest panią Indochin i oddziały Leclerca ruszyły na kierunek Haipong. Ażeby uspokoić obawy Vietnamczyków, którzy strzałami przyjmowali nieproszonych gości, gen. Leclerc w imieniu republiki francuskiej solennie obwieścił, że chodzi mu wyłącznie o podpisanie traktatu przyjaźni między Francją a rządem Vietnamu. — Francja uzna Vietnam jako niepodległe państwo, niezależne gospodarczo, militarnie i politycznie, które wraz z niepodległymi Laosem i Kambodżą tworzyć będą Federację Indochin, jednocześnie zaś wejdą w skład Unii Francuskiej, utworzonej przez nową konstytucję. Sprawa granic, plebiscytu w Kochinchinie odnośnie jej przynależności do Viet Namu zostały odłożone na czas dalszy. Nie została natomiast odłożona kwestia stacjonowania w Indochinach wojsk obcych. Chiny i Wielka Brytania nie uznały przecież rządu Vietnamu, więc z Francją pertraktowały w tej sprawie. Potem obce wojska opuściły teren Vietnamu, potem przyjechały nowe oddziały wojsk francuskich, potem, jak przed wojną, przybył do Indochin Wysoki Komisarz i potem rozpoczął się konflikt. Nie wojna oczywiście, bo wojna już była skończona.

W sierpniu 1946 roku prezydent Vietnamu został zaproszony na konferencję do Paryża. Obradowano, obiadowano, filmowano i wygłaszano mowy. 14 sierpnia w pałacu w Fontainebleau Ho Chi Minh podpisał t. zw. modus vivendi. Te dwa słowa oznaczały, że narazie wszystko pozostaje po staremu, że Vietnamczycy nadal czekają pokoju, a Kochinchina plebiscytu, w którym miała wypowiedzieć swą wolę zjednoczenia się ze swymi braćmi z Annamu i Tonkinu. Ale w tym samym czasie, gdy Ho Chi Minh bawił nad Sekwaną, w tajemnicy przed rządem Viet Namu odbywały się trzy konferencje. Jedna w Vientianie, a druga w Pnom Penh. To sprowadzano królów Laosu i Kambodży z wygnania. Trzecia w Dalat. Chodziło o rozczłonkowanie Vietnamu, który za ostro i za samodzielnie domagał się niezależności. Stworzono więc marionetkowy rząd Kochinchiny, który oświadczył, że plebiscyt jest niepotrzebny, bo Kochinchina wcale nie chce dostać się pod terror Viet Namu. — i podpisano układ. Podstawa do przyszłej konstytucji federacji Indochin była następująca: Każde z państw federacji rządzić się będzie według swojego wewnętrznego systemu. — Wszystkie razem tworzą Federację, na której czele stoi prezydent wybrany przez parlament i wysoki komisarz Republiki Francuskiej. Parlament składa się w 50 proc. z przedstawicieli poszczególnych sfederowanych państw, a w 50 proc. z przedstawicieli interesów francuskich w tych państwach. Językiem urzędowym jest francuski. Językiem wykładowym w szkołach średnich i wyższych jest francuski. Rząd francuski **stawia do dyspozycji** państw sfederowanych siły techniczne, urzędników administracyjnych i doradców. W Laosie i Kambodży ludność jest jeszcze dość prymitywna. Annamici to naród już uświadomiony i kulturalny. Kiedy Ho Chi Minh wrócił z niczym do Hanoi, w Vietnamie trwały już walki. „Le Monde" i „Figaro" oburzały się na annamickich terrorystów, że spowodowali nowy przelew krwi, niewdzięcznicy, nie rozumiejący francuskiej misji na terenach Indochin.

Kraj niesłychanie bogaty. Cynk, cyna, fosfaty, rudy żelazne, węgiel wysokogatunkowy, złoto. Przemysł mineralny, budowlany, włókienniczy, papierniczy, drzewny, spożywczy. Plantacje ryżu, kukurydzy, kawy, tytoniu, pieprzu, cynamonu. Kauczuk. W ciągu jednego roku umiera z głodu przeciętnie 100.000 Annamitów. W ciągu wojny kapitał Banku Indochin zbliżył się do czwartego miliarda franków (przedwojennych), a pozostałych 15 trustów szacowano na jakie 9 miliardów. Kiedy Ho Chi Minh po przyjęciu konstytucji przez ludność Viet Namu powiedział: każdy Vietnamczyk będzie miał ryż i żaden nie umrze więcej z głodu, to znaczyło, że trusty żywnościowe nie będą więcej eksportować lwiej części tego jedynego pożywienia ludności. — Kiedy Ho Chi Minh powiedział, że rząd zagwarantuje każdemu robotnikowi minimum płacy, to znaczyło, że kończy się wyzysk „tubylczych" sił roboczych. A kiedy Ho Chi Minh powiedział, że vietnamskie jest, co daje ziemia Vietnamu, to znaczyło, że Vietnam nie chce wolności malowanej. Wtedy spadły nieco akcje indochińskie na giełdach całego świata, a wkrótce odbyły się trzy wyżej wspomniane konferencje. Laos i Kambodża to pozbawienie Vietnamu zaplecza. Kochinchina, to pozbawienie go niepodległości. Bo 95 proc. kauczuku Indochin produkuje właśnie Kochinchina, a więc Vietnam straciłby najważniejsze źródło bogactwa narodowego. Bo 75 proc. ryżu pochodzi z Kochinchiny, więc Vietnam musiałby importować żywność w zamian za swoje bogactwa mineralne i byłby skazany na zależność od trustów władających Kochinchiną. Paul Baudoin, prezydent Banku Indochin, minister spraw zagranicznych w rządzie Petaina, sygnatariusz układu z Japonią w sprawie Indochin, został skazany niedawno na 5 (pięć) lat robót przymusowych. Ale Bank Indochin, który udzielał Japonii pożyczek w czasie wojny, działa nadal. Więc równocześnie ze stworzeniem rządu Kochinchiny, adm. Thierry d'Argenlieu, wysoki komisarz Francji stworzył nowe „państwo". Na południu Annamu żyje 200.000 Mois, zanikających pierwotnych mieszkańców tych terenów. To „państwo" zostało wyodrębnione od Vietnamu, a dla „ochrony tubylczej ludności i dla umożliwienia im jak najszybszego dojścia do poziomu godnego nadania państwu samodzielności" posłano do „państwa" Mois wojska francuskie. W ten sposób oddzielono kordonem bagnetów vietnamski Annam i Tonkin od vietnamskiej Kochinchiny. Zaraz potem zażądano od rządu Vietnamu ewakuacji Haiphongu, ważnego portu w Tonkinie. Wobec odmowy, zbombardowano miasto (12.000 zabitych, wojny oczywiście nie ma), zdobyto je i ludność ewakuowano. Był listopad 1946 roku. W grudniu wybuchły trwające do dziś wypadki.

Ta wojna Annamitów o wolność, to jeden z najpoważniejszych czynników w walce o losy Francji. Nad kolonialami francuskimi jak hieny stanęły i czekają Anglia i Ameryka. — Pierwsza wykorzystała opuszczenie przez Francję Syrii i Libanu, by zainstalować się w tych nowostworzonych państwach. Druga czeka na Indochiny. W tej walce między kapitałem amerykańskim i francuskim sam Vietnam jest niewiele znaczącą drobnostką. Ho Chi Minh doskonale zdaje sobie sprawę, że Vietnam nie prędko będzie mógł zupełnie uniezależnić się od wielkiego kapitału. Zdaje sobie sprawę, że jeśliby Francja opuściła Indochiny, stałyby się one sferą wpływów amerykańskich. Z dwojga złego wybrał Francję, która bądź co bądź ma swoje zasługi na tych terenach. Dlatego też gdy mówi o niepodległości, dodaje: w ramach Unii francuskiej. Ale Ho Chi Minh żąda konsekwencji tej niepodległości. Wielki kapitał, który nie chce dopuścić do żadnego uszczuplenia stanu swojego posiadania, gdy widział, że nie uda się na skutek machinacji politycznych doprowadzić do mianowanego marionetkowego rządu w Vietnamie, że za silne są wpływy i autorytet Ho Chi Minha i Viet Minhu rozpoczął akcję oszczerstw i kalumnii. Popierany nie tylko przez gaullistów, PRL i MRP, ale nawet częściowo przez SFIO doprowadził do działań zbrojnych. Ho Chi Minh wie, że Vietnam jest stroną słabszą i prosi o wstrzymanie działań zbrojnych, o negocjację. Na te deklaracje nie ma żadnej poza strzałami odpowiedzi. Anglia, która niechętnie widziałaby USA obok Birmy i Indii, czekających wolności, sprzedaje Francji broń. Ameryka podsyca nienawiść do Francuzów i popiera prochińską a antyfrancuską partię, której sprzedaje broń na wypadek konieczności wystąpienia zbrojnego przeciw Francji i Viet-Minhowi. Im dłużej trwa wojna, im większe zniszczenie, tym większe osłabienie Francji i Indochin, tym łatwiej potem byłoby uzależnić od siebie nietylko Indochiny, ale i Francję. Im dłużej trwa wojna, tym większych Francja potrzebuje kredytów na jej prowadzenie i tym więcej musi wysyłać wojsk. — Przy jej słabości ekonomicznej i braku rąk roboczych oznacza to jeszcze większe osłabienie potencjału ekonomicznego i ogólnej sytuacji Francji i wzmożenie się niezadowolenia wśród ludności. Osłabienie ekonomiczne to znaczy nowy rynek zbytu dla Ameryki i uzależnienie od siebie Francji. Niezadowolenie ludności, to podstawa do propagandy antykomunistycznej, która po „greckiej" mowie Trumana wzrasta coraz bardziej, to lansowanie de Gaulla, który kiedyś nie chciał mówić z Roosseveltem, ale dziś idzie ręka w rękę z Trumanem. Jedynym wyjściem ze sytuacji byłoby natychmiastowe przerwanie wojny i rokowanie z Vietnamem, tak jak chcą tego komuniści. Takie rokowania jednak, to danie możliwości Ho Chi Minhowi do wykonania swych planów, które godzą w wielki kapitał. Mimo zwycięstwa komunistów w ostatnich wyborach Francja jest państwem wybitnie kapitalistycznym. Mimo ustroju demokratycznego wpływy kapitału mają największe znaczenie. Więc wojna w Indochinach trwa. — Wbrew interesom Francji, wbrew woli Francuzów, wbrew woli 15 milionów Annamitów, którzy chcą wolności, jedności i właśnie współpracy z Francją. Hanoi jest daleko, a przecież w Chambre des Deputes naprzeciw Placu Zgody doszło do bójki między posłami, gdy rozpatrywano sprawę Indochin. Hanoi jest daleko, ale tam bodaj ważą się losy Paryża.

Mariusz Margal.

Spółdzielnia Wydawnicza „KSIĄŻKA"

JAN KOTT

O SPOŁECZNYM AWANSIE

str. 30 zł. 50.—

(Autor broszurki stwierdza, że jedną z najważniejszych zdobyczy demokracji ludowej jest możliwość awansu społecznego każdej jednostki świata robotniczego i chłopskiego).

ZDZISŁAW HIEROWSKI

Kłopoty czy błędy radiofonii polskiej?*)

ORGANIZACJA I PLANOWANIE

ZASADNICZĄ wadą naszego programu radiowego jest nieumiejętność zorganizowania pracy programowej w dyrekcji naczelnej i rozgłośniach regionalnych oraz brak planowania. Program radiowy jest u nas w dalszym ciągu w dużej mierze inspirowany dlatego, że planuje się go na zbyt krótką metę co nie pozwala na jego spokojną i wartościową realizację.

Kilka miesięcy temu planowało się audycje najwyżej na cztery tygodnie naprzód. Planowanie to wyglądało w ten sposób, że zatwierdzano projekty i nakazywano ich realizację. Zbyt krótki termin pozostający na przygotowanie autorskie i wykonawcze audycji oraz na przeprowadzenie jej kontroli prewencyjnej powodował, że audycje te pozostawiały i pozostawiają nadal wiele do życzenia.. Chodzi naturalnie o audycje słowne przede wszystkim, bo z muzycznymi sprawa jest trochę prostsza i łatwiejsza.

Polskie Radio nie wyjdzie z programowego impasu dopóki nie wprowadzi u siebie w sposób realny i konkretny szczegółowego planowania audycji na okres sześciu albo i ośmiu tygodni.Poto, by takie planowanie miało istotnie sens, trzeba położyć krzyżyk na programie najbliższych pięciu, sześciu miesięcy i już teraz, natychmiast przystąpić do ustalenia ogólnych ram i zasad programu zimowego, który powinien rozpocząć się najpóźniej 1 listopada. Jeśli się to nie uda w tym terminie, trzeba raczej przesunąć nadawanie jeszcze o miesiąc, ale dać już program naprawdę przygotowany i rozplanowany. Znaczy to, że radio już teraz musi ustalić ramy czasowe i tematyczne, w jakich będzie rozwijał się program w okresie jesienno-zimowym 1947/48. Plan czasowy audycji, ich układ i plan ogólny już teraz powinien znaleźć się w rękach pracowników programowych, którzy powinni natychmiast przystąpić do projektowania jego realizacji. Na podstawie tego programu ramowego, jeśli przyjmiemy datę 1 listopada jako początek nowego okresu programowego, już w pierwszej połowie września powinien być ustalony program szczegółowy na pierwsze sześć tygodni nowego okresu programowego, a następnie winien on być systematycznie co tydzień w nienaruszalnych terminach uzupełniany ze stałym zachowaniem tego sześciotygodniowego dystansu. Żeby uniknąć nieporozumień, wyjaśniam: szczegółowemu planowaniu z góry podlegają audycje literackie, oświatowe i muzyczne niezależne zasadniczo od aktualnych okoliczności; w ramach tego planowania muszą się znaleźć również takie audycje okolicznościowe, które są z góry do przewidzenia (święta kościelne i państwowe, rocznice itp.). Audycje ściśle aktualne, związane z chwilą bieżącą otrzymują w tym planie swoje miejsca ramowe puste, wypełniane już modą dziennikarską z dnia na dzień, czasem z godziny na godzinę. Dobrze przemyślany program ramowy chroni od zbyt wielu zmian, które winny w ramach programowych zachodzić tylko wyjątkowo w szczególnie ważnych okolicznościach. Jeśli takie okoliczności spowodują skreślenie lub przesunięcie jakiejś audycji z pierwszej kategorii, słuchacz będzie za tę zmianę tylko wdzięczny. Jeśli powody zmiany będą zbyt małe, musi być niezadowolony.

Tych zasad Polskie Radio w pracy programowej zupełnie nie przestrzega. Działy, które winny pracować na długą metę, pracują pośpiesznie i gorączkowo, co fatalnie odbija się na autorskim i wykonawczym poziomie audycji zwłaszcza literackich (w radio jest to określenie bardzo szerokie). W warunkach, w jakich pracuje radiofonia polska, nie widzę innej możliwości normalizacji pracy programowej, jak właśnie w tej formie: autor audycji literackiej czy oświatowej, wykonawca audycji muzycznej musi wiedzieć przynajmniej sześć tygodni wcześniej o terminie swej audycji, która powinna być już zasadniczo w tym czasie zgrubsza przygotowana. Jeśli nie jest gotowa, wykonawca ma się czas przygotować, autor ma czas napisać, rozgłośnia przekazać ją do kontroli, jest jeszcze czas na poprawki a nawet ewent. zmianę autora. Poza tym jest czas na przygotowanie strony wykonawczej przy audycjach złożonych.

W Polskim Radio spotykałem się stale ze zbyt krótkimi terminami przy ustalaniu programu i wprowadzaniu zmian. Doszło do tego, że dyrektor programowy zaproponował na konferencji odbywającej się w dniu 28 maja wprowadzenie nowych ram programowych z dniem 1 czerwca zamiast 1 lipca, co już było terminem wskazującym na zupełne lekceważenie zasad pracy programowej.

WSPÓŁPRACA ROZGŁOŚNI REGIONALNYCH

Bez uwzględnienia postawionych powyżej zasad pożyteczna współpraca rozgłośni regionalnych z programem ogólnopolskim jest niemożliwa i przynosić będzie fatalne rezultaty. Rozgłośnie te muszą z góry wiedzieć, w jakim kierunku ma iść ich szczegółowe projektowanie audycji, t. zn. muszą mieć dokładne wytyczne na piśmie, jaka będzie i jaka może być treść ustalonych na dany sezon ram programowych. Pokazanie im kratki podziału godzinnego z mniej lub więcej mówiącymi tytułami nie wystarczy. Każda pozycja ramowa musi być dokładnie wyjaśniona. Wówczas naczelna dyrekcja programowa chroniona jest przed nadsyłaniem projektów niepotrzebnych, a projektujący wie, jakiego materiału dyrekcja ta od niego wymaga. Bez tego powstają ustawiczne nieporozumienia, odrzucanie projektów, narzucanie rozgłośniom audycji, do których nie mają warunków, autorów czy wykonawców, doskakiwanie z audycjami w ostatniej chwili i t. p.

Rozgłośnie regionalne zawsze miały bardzo wydatny udział w programie ogólnopolskim i zawsze wypełniały większość czasu na program ten przeznaczonego. Ambicją każdej rozgłośni był jak największy udział w audycjach ogólnopolskich i utrzymanie tego udziału na jak najwyższym poziomie. Z drugiej strony program ramowy był tak obmyślany, by jego szczegółowa realizacja mogła się rozłożyć na jak największą liczbę stacji. Dlatego utyskiwania, że „wyniszczona i niemająca nawet kawiarni artystycznej" Warszawa skazana(!) jest na korzystanie ze współpracy rozgłośni regionalnych, jest co najmniej dziwne, powiedziałbym nawet śmieszne. Trzeba tylko umieć zorganizować tę współpracę. Rozgłośnie dążą do wysunięcia na antenę swoich najlepszych autorów i wykonawców, ukazania swojego dorobku kulturalnego i gospodarczego; chcąc być słuchane przez całą Polskę pragną całemu krajowi pokazać to, co mają najlepszego i najciekawszego w swoim zasięgu. Ale muszą wiedzieć, czego się od nich wymaga, nie mogą pracować na ślepo i strzelać swoimi projektami jak przysłowiową kulą w płot. A program nadawany w większości z Warszawy byłby jednostronny i nudny pomimo najlepszych wykonawców. Rozgłośnie regionalne wyrabiają sobie z czasem pewne sobie właściwe specjalności, w innych specjalnościach starają się dorównać audycjom przodującym i w ten sposób powstaje jedynie możliwa do przyjęcia barwna ale i przemyślana mozaika programowa, na którą składa się wysiłek całej Polski. Program ogólnopolski nie nazywa się w ten sposób tylko dlatego, że słucha go cała Polska, ale i dlatego, że go cała Polska tworzy. I to jest kierunek ambicji Polskiego Radia. Ale na to — znów powtarzam — potrzebna jest należyta organizacja pracy i planowanie. Dwa programy ramowe w roku z należytym uzasadnieniem i systematyczna, długodystansowa ich realizacja.

NIEDOMAGANIA KONTROLI

Wewnętrzna kontrola treści i wykonania audycji jest w Polskim Radio źle zorganizowana, jednostronna i pozbawiona konsekwencji. Kontrola ta jest czynnikiem niesłychanie ważnym. Daje bowiem ściśle na wewnętrzny użytek kierownictwa programowego ocenę każdej audycji, która musi mieć dwa elementy: uwzględniać stanowisko słuchacza i dawać orzeczenia fachowe ze znajomością spraw radiofonii. Kontrola ta jest zbyt zmechanizowana oraz niepotrzebnie i ze szkodą dla jej wyników zcentralizowana.

Aparat kontrolny to instrument własnego samokrytycyzmu. Instrument ten musi działać bez zarzutu, gdyż inaczej ma znaczenie zepsutego zegarka lub barometru. Jest to instrument specjalny, wymagający opieki dobrych wynagrodzeń, całkowitej niezależności i częstych zmian. To nie jest urzędowanie i etat, to jest praca okresowa, z przerwami i nawrotami. Zawodowo co dzień ocen radiowych knocić nie można. Nawet co drugi dzień.

BRAK DOŚWIADCZONYCH FACHOWCÓW

Radio jak każda uczciwa praca wymaga przygotowania, kwalifikacji, doświadczenia, a przy tym często i talentu. Talent musi opanować technikę pracy radiowej. Obserwowałem niejednokrotnie, jak człowiek z „żyłką radiową" w ciągu kilku miesięcy dochodził przy współpracy systematycznej doświadczonego radiowca do wspaniałych rezultatów i patrzyłem także, jak taki sam człowiek skazany na improwizację i własne pomysły robił szkodliwe głupstwa.

W Polsce brak jest fachowych, doświadczonych pracowników programowych. Nie było ich nigdy zbyt wielu, teraz jest jeszcze mniej. Największą winą Polskiego Radia jest to, że nie uczyniło dotychczas nic w kierunku wykształcenia personelu programowego, pozyskania nowych kadr i nauczenia czegoś systematycznie tych, którzy napłynęli do radia niesieni falą przypadku. Skutki tego znać w programie na każdym kroku, najwięcej drastyczne są one w pracy speakerów, która stoi często na wprost skandalicznym poziomie zwłaszcza w rozgłośniach regionalnych. Byle tuman z „pięknym" głosem zostaje pasowany na prowadzącego audycje, jąka się, duka, przejęzycza, słowo „pean" wymawia „pin"; nazwisko Wilde czyta według pisowni, nie umie zapowiedzieć klasycznego kompozytora ani jego utworu, przerywa trzy-częściowy koncert po pierwszej części i zapowiada następny utwór, a potem brakuje mu 20 minut do czasu trwania audycji i nadaje po koncercie symfonicznym muzykę jazzową z płyt.

Metodykę pracy programowej w radio można zgrubsza zamknąć w kilkudniowym cyklu wykładów, uzupełniając go jeszcze kilkoma praktycznymi pokazami. Takie wprowadzenie poparte następnie fachowym pokierowaniem pracownika daje niemal natychmiastowe rezultaty.

WSPÓŁPRACA LITERATÓW

Skarży się Polskie Radio na brak współpracy ze strony pisarzy. Tak. Słusznie — pisarze z radiem nie współpracują, bo radio współpracy tej nie umiało nawiązać. Czasy słuchowisk Szaniawskiego, Gałczyńskiego, Czechowicza minęły i nie uczyniono nic by je przywrócić. Polskie Radio nie ceni sobie współpracy pisarza. Zrażało go sobie systematycznie płacąc bzdurne honoraria za audycje literackie i szastając pieniędzmi na inne audycje. Dam jeden przykład: gdy z mojej namowy najwybitniejszy pisarz młodego pokolenia napisał pierwsze słuchowisko oryginalne otrzymał za nie 5.000 zł. Równocześnie niemal dwaj satyrycy za bardzo mizerną audycję programową (ordynarnie propagandową) otrzymali 30.000 zł. Słuchowiska za grosze nie można napisać. To jest skondensowany dramat, to trudna do opanowania, nowa, u nas nie ujęta jeszcze w teorię technika. To poza tym twórczość, twórcze wyładowanie się pisarza, który musi otrzymać godziwe honorarium, które możnaby nazwać honorarium literackim a nie jałmużną.

Ponadto stan ten nie ulegnie zmianie, dopóki nie zmieni się stosunek Polskiego Radia do Związku Zawodowego Literatów, dopóki kierownikami literackimi będą ludzie „interesujący się literaturą a nie typowani przez Związek literaci. Naturalnie, że nie każdy członek ZZLP ma kwalifikacje na radiowca, ale radio nie czyni nic, by sobie literatów pozyskać i zainteresować ich pracą dla radia. Ogranicza się zasadniczo do robienia im reklamy w wywiadach

Jest jeszcze strona inna. Radio wprowadziło do programu nadmiar słuchowisk, nie zdając sobie sprawy, że słuchowisko to jedna z

---

*) Kontynuując tym artykułem dyskusję na temat Polskiego Radia rozpoczętą przez J. Pańskiego i J. Czeraszkiewiczową redakcja podkreśla, iż drukowane na tym miejscu wypowiedzi nie są wyrazem stanowiska „Kuźnicy". Głosy w tej dyskusji są swobodnymi i indywidualnymi opiniami jej uczestników.

Dyskusja o niedomaganiach naszego programu radiowego posiada małe widoki na to, by się szerzej rozwinęła i nie bardzo chce się wierzyć, by przyniosła ona konkretne rezultaty. Polskie Radio jest dosyć konserwatywne w trzymaniu się przyswojonych sobie w pracy programowej błędów, czego dowodem jest choćby niezaprzeczalny fakt, że nie realizuje większości też i postulatów ustalanych na ogólno-krajowych konferencjach programowych i z sezonu na sezon brnie w dawnych niedomaganiach zbyt mało wprowadzając pozytywnych korektur. Ludzi znających problemy programu radiowego od podszewki, od strony organizacji pracy programowej, jej metodyki i techniki jest u nas, niestety, mało. Zainteresowanie radiem wśród pisarzy i artystów jest nikłe. Tym więcej byłoby wskazane, by zechcieli się oni w tej dyskusji wypowiedzieć, jeśli sprawy te są im choć trochę, w ten czy inny sposób bliskie. Uwagi ich dostarczą materiału, który opracować muszą już doświadczeni radiowcy.

ROMAN BRATNY

WYWOŁANIE

Rano jest wieść, że zabili robotnika stalowni.
Choć jest na ostatniej stronie,
to za nią idą w kondukcie żałobnym
wszystkie pierwszorzędne wiadomości.

Lecz już wieczorem w neonach jaskrawych
sprzedawca krawatów — ojciec tęcz rozmaitych —
zachwala towar — na szyję zbója łagodnie nastawa,
i bawią się i płaczą i cieszą dzieci cywilizacji technicznej.

Fotograf w ciemni wywołuje schwytanych poprzedniego dnia
i z ręki ulicznego fotografa zmniejszony po stokroć
Zabity wyjdzie z dziewczyną swą,
a na ulicach światło śpiewa i gra,

kiedy trafiony chemią zabarwia się życiem
i rusza duch z dziewczyną pod ramię.
Nie tylko ducha wywoła. Już obok woła natarczywie
fotos, portrecik pani śmiejącej się ku wystawie.

Foto: ulica odbudowy. Tu nie spoczywa nikt,
a śliczne nóżki wyglądają jak ilustracja z podręcznika historii,
a na niej pani wchodzi do sklepu, na którym szyld:
„Burżuazja — sprzedaje interesy poniżonych i głodnych".

Fotograf strzela kontaktem — wypływa światło
martwa natura:
błony grają tęczami na gazecie rozpostartej
— nad małym petitowym tytułem.

Nad tytułem „zabity znowu działacz robotniczy!"
idzie Zabity z dziewczyną swą.
Bo fotograf mego kraju wywołuje chemicznie
Duchy — nie klisze — ludzi stąd.

Chciałbym by wiersz
mógł być pytany o drogę.

Chciałbym by wiersz mój
zamiast rozkładu jazdy
mógł być wieszany na dworcach

I pokazuje: oto
stary sprzedawca krawatów
sprzeda na szyję zbója
tęczę z manufaktury.
Pani skrzywieniem warg
negatyw fotografii
zaciemnia niby klepsydrę.
— wywołaj: śmieje się!

Chciałbym by te obrazy
służyły w elementarzu,
w którym sylabizując
już nawet dziecko palcem
nakreśli objaśnienia.

STANISŁAW WYGODZKI

NOCE

Ciepłe zwierzęta skaczą w noc jak do wody,
słychać odpływ i przypływ rzeki wezbranej ciemności,
drzewa skrzypiące, liście, co szumią tracane falą.
Noce nie mają brzegów, płyną unosząc zwierzęta,
cielska obłe, oślizgłe, które powoli stygną.
Kiedy ciemność odchodzi,
na szczytach drzew
tkwią
ruiny ptaków.

DZIEWCZYNKA Z LALKĄ

Gdybym miał ciebie przytulić jak ty swoją lalkę,
gdybym miał ciebie w kołdrę owinąć, jak ty swoją lalkę,
musiałbym spojrzeć w dziecięce oczy całego świata,
by ujrzeć siebie,
a tego ja nie potrafię oczyma pełnemi łez,

czołowych form radiowych, trudna i reprezentacyjna. Polskie Radio rozmieniło ją na drobne i zraziło tym samym do niej słuchaczy. Przy tym naturalnie ucierpieć musiała strona wykonawcza. Nie mamy reżyserów radiowych, nie ma środków technicznych, efektów itp. Rezultat jest ten, że często przy najlepszej obsadzie akorskiej wykonanie słuchowiska pozostawia bardzo wiele do życzenia. Takie słuchowiska „położone" przy współudziale wybitnych aktorów słyszeliśmy nie raz z „samej" Warszawy. I nie zrobiono znów niemal nic, by braki te wyrównać.

ZASADNICZA OMYŁKA Z ROBOTNIKIEM

Nie chcę się tutaj zagłębiać w krytykę propagandy uprawianej przez radio. Jest to propaganda krzykliwa, tromtadracka, płaska i niemądra. Jest zatem szkodliwa, co potwierdzi każdy z brzegu słuchacz przekręcający gałkę dziesięć razy dziennie, by zamknąć rozgadany i rozklaskany głośnik. Radio choruje na robotnika. To jest bardzo niebezpieczna choroba. I dla radia i dla robotnika. Robotnik jest w tym szczęśliwym położeniu, że może się z zasięgu tej choroby wyłączać. Radio snobuje się na robotnika przed mikrofonem. Rezultat: niezliczone, dukane i źle po polsku mówione „wywiady" (przy nich zresztą najwięcej mają do powiedzenia obywatele dyrektorzy), koncerty orkiestr i chórów robotniczych, obniżanie poziomu audycji do najniższych granic przy wprowadzaniu ordynarnego, brutalnego humoru, w którym główną rolę grają pijacy, wódka i nawet czynności tylnej części ciała ludzkiego, zdarza się, nazywane „po imieniu". Jeśli obniżenie strony tekstowej i wykonawczej audycji ma stanowić jej warunek dotarcia do robotnika„ to można mówić o szkodliwej kulturalnie robocie Polskiego Radia. Bo tutaj panuje zasadnicze nieporozumienie co do roli i zadań radia. Według niektórych radiowców dzisiejszych radio ma „dźwigać" kulturalnie robotnika przez doprowadzenie go do mikrofonu z jego tekstami, z jego orkiestrą i chórem. Robotnik stara się przez to podnieść, a radio staje się czynnikiem tworzącym nowe wartości kulturalne. Tymczasem radio to przede wszystkim instrument propagowania i rozpowszechniania kultury w masach, to środek, przy którego pomocy dorobek kulturalny czołowej warstwy kulturotwórczej narodu przechodzi w masy w formie jak najbardziej odpowiedniej i dostępnej. Robotnik ma prawo do tych wartości i musi je otrzymać. Nie wolno mu dawać tandety albo prymitywu, bo go się tym do tandety i prymitywu przyzwyczaja. On pragnie dobrej orkiestry i dobrego słowa, ma dość na codzień rzępolenia kapeli zakładowej i przemówień swoich, nie zawsze stojących na poziomie, mówców. Radio musi dać wzór prawdziwie artystycznych wartości, musi mu nawet w rozrywce popularnej pokazać najwyższy poziom. Według pierwszej zasady radio nie podnosi kultury mas, lecz ją najwyraźniej obniża. Nie znaczy to, by zespoły robotnicze miały być zupełnie odsunięte od mikrofonu. Chodzi o to, by ich udział ograniczył się do tego, co jest obiektywnie wartościowe, żeby byle tandeta dlatego że „robotnicza" nie była ze szkodą dla słuchaczy lansowana. A tak jest niestety często w obecnym programie.

INNE SNOBIZMY POLSKIEGO RADIA

Ma jeszcze nasze radio kilka innych snobizmów. Imponują mu listy od słuchaczy. W tym celu mnoży się w nieskończoność audycje skrzynkowe i podobne, połączone z potrzebnym czy niepotrzebnym wymienianiem nazwisk korespondentów. Listy naturalnie sypią się jak z worka, a audycje są diabła warte. Wartość mają tylko dla tych, których się wymienia i dla ich rodzin. Budzą zazdrość znajomych i każą im także pisać do radia mniej lub więcej mądrze. A radio się cieszy, że audycja ma powodzenie. Każda audycja, która schlebiać będzie malutkiej próżności jednostki, będzie miała powodzenie, a radio musi takie audycje ograniczać do koniecznego minimum.

Jednym z dalszych snobizmów są „reportaże dźwiękowe". Są liczne, forsowane i polecane, a nie mają ani dobrych sprawozdawców, ani odpowiedniego opracowania redakcyjnego i technicznego, stanowiąc jedną z najmizerniejszych pozycji w programie. Tutaj też zdarzają się małe skandale (reportaż z wyjazdu Niemców z Wrocławia z wywiadem z niemieckim lekarzem i powtarzaniem w kółko tego samego; kompromitujący pod względem językowym reportaż z otwarcia Targów Poznańskich). Sprawozdawców też trzeba sobie wykształcić. Jeśli nie mają talentów á la Trojanowski, będą przynajmniej poprawni.

Do rzędu malutkich snobizmów P. R. należy „urozmaicanie". Rozkłada się zwykłą audycję informacyjną na głosy, układa się ją w nienaturalny i źle wygłaszany dialog, podczas gdy przy takiej audycji interesująca i dobrze wygłoszona treść wystarczy do zadowolenia słuchacza.

Ma jeszcze radio jeden kłopot: finanse. Nigdy mu nie starcza na dobry program, zawsze oszczędza, ogranicza i skreśla nie prowadząc przy tym normalnej gospodarki finansowej w tym dziale. Nie ma opracowanych stawek na dostatecznym poziomie, jedne audycje przepłaca, innych nie dopłaca, przekroczenia budżetowe przy układaniu preliminarzy z powietrza są zjawiskiem stałym i nie pociągają konsekwencji. Nie są zaś zjawiskiem korzystnym dla programu i nie przyczyniają się do podniesienia jego poziomu.

Zdzisław Hierowski.

JULIA HARTWIG

KRONIKA FRANCUSKA

JEDEN z ostatnich (153) numerów „Lettres françaises" przynosi w stałym felietonie politycznym Claude Morgan'a — polemikę z poetą Léon-Paul Farguè reklamującym stare, a dziś już dość podejrzane hasło niezależności politycznej artysty: „Wszystko jedno, czy będziesz komunistą, liberałem, czy czymkolwiek — mówi L. P. Farguè. Jest charakterystyczne, że takie poglądy głoszone są przez pisarzy spod znaku „Figara" — podczas gdy lewica francuska dorzuca wciąż nowe racje do tezy o artyście „zaangażowanym".

Ostanie numery „Action", „Europe", „Lettres" a nawet „Esprit" przynoszą szerokie komentarze wydarzeń politycznych ostatniego okresu, wydarzeń, które dotyczą i obchodzą cały naród francuski, z którego Farguè chciałby wyłączyć autonomicznego i zadufanego w sobie pisarza. Ostatnie procesy przeciw Joanowici i Hardy'emu — procesy porównywane dziś do rozmiarów afery Dreyfusa obejmują nie tylko szerokie sfery urzędnicze, sądownicze i policyjne, ale kształtują również nowy pogląd na stosunki panujące w czasie wojny między Ruchem Oporu kierowanym na zewnątrz przez gen. de Gaulle'a i Ruchem Oporu wewnątrz kraju, gdzie tak wybitną akcję przeprowadziła Francuska Partia Komunistyczna. Ostatnie wystąpienia de Gaulle'a i utworzenie nowej partii może mieć ważkie i groźne skutki dla całości Francji. Dlatego w wszystkich wymienionych pismach — znajdujemy pogłosy tych wydarzeń pełne niepokoju i troski. W związku z Konferencją Trzech w Moskwie, która miała zadecydować o strukturze fizycznej, politycznej i społecznej nowych Niemiec miesięcznik „Esprit" wydał specjalny numer poświęcony zagadnieniom niemieckim. Artykuł wstępny zatytułowany „O politykę niemiecką" ma charakter programowy i podpisany jest przez komitet redakcyjny. Grupa wysuwająca te tezy ma ambicje praktycznego oddziaływania na kierunek polityki francuskiej wobec Niemiec — i choć ambicje te nie muszą być zrealizowane — tezy stanowią ciekawy dokument nie tylko dla Francuza, ale i dla Polaka bezpośrednio zainteresowanego sprawą granic zachodnich Niemiec niepomiętych bynajmniej w rozważaniach „Esprit".

Na artykuł ten warto zwrócić uwagę z różnych względów. Opinia zachodnia zarzucała Polsce niejednokrotnie brak pozytywnego programu w stosunku do Niemiec, brak jasnych wytycznych w przyszłej polityce. Ospałość ta tłumaczona często „kompleksem niemieckim" z czasów okupacji lub, jeszcze chętniej, brakiem ostatecznej decyzji w sprawie naszych granic Zachodnich — staje się coraz mniej usprawiedliwiona. Kwestia naszych granic Zachodnich została postawiona twardo. Czas teraz na ustalenie programu, w którym powinna wziąć udział opinia i prasa polska. Warto ją wzbogacić poważnym materiałem dyskusyjnym z pism zagranicznych.

„Nie mamy polityki okupacyjnej — pisze „Esprit" — ponieważ nie mamy polityki niemieckiej, ponieważ nie mamy polityki światowej. Braki w twórczości musi wyrównywać rutyna. Bezwład biur odziedziczonych po Delcasse'ie i Bert..elot'cie i związanych z tradycjami nacjonalizmu francuskiego rozbudzonego w czasie okupacji wydały Bainville'a i Deroulede'a. Mówić o granicach nadreńskich w czasach V² i bomby atomowej, oprzeć losy Francji na aneksjach, które kolumna pancerna zniszczyć może w jeden dzień — oto pomyłki, które narażają na śmieszność już od dwu lat naszą „politykę wielkości". Na nieszczęście znalazła ona zrozumienie w wewnętrznej strukturze politycznej naszego kraju".

Polityka dotychczasowa oparta była na rzeczywistości Niemiec przedhitlerowskich, a nie na rzeczywistości Niemięc i świata po kapitulacji 45 roku.

Aby przewidzieć politykę nową i organiczną trzeba się przede wszystkim strzec abstrakcyjnej definicji niemieckiej polityki. ZSRR czujny na zmiany dokonujące się we współczesnych Niemczech zmienił już trzy razy politykę na swych terenach okupowanych. Żadne z mocarstw nie zajęło jeszcze stanowiska ostatecznego. Opinia narodu niemieckiego, do której należałoby się odwołać, jeśli nie chcemy wskrzesić Hitlera — nie wyjaśnia sytuacji. Zesztywnienie po 10 latach dyktatury wpływa paraliżująco na powstanie samodzielnej myśli politycznej.

Jakie mamy atuty w grze niemieckiej? Polityka de Gaulle'a, za którym, przynajmniej jeśli idzie o hasła, idzie Bidault, kierowała się ambicją, aby odgrywać rolę trzeciego w grze wielkich mocarstw, mimo ośmieszająco małych możliwości. Hasła te były tak puste, że nawet nie próbowano z nimi dyskutować.

Mamy przed sobą różne drogi. Albo przejść do jednego z obozów i automatycznie naśladować jego decyzje — (a tego wzbrania nam nasza sytuacja zewnętrzna i wewnętrzna) — albo przyjąć neutralną pozycję Szwajcarii (ale ta decyzja byłaby sprzeczna z naszym kluczowym położeniem atlantyckim z naszym wkładem w przemysł europejski, z naturalnymi związkami naszego przemysłu z przemysłem niemieckim). Pozostaje nam jeszcze jedno wyjście — to, którego broniliśmy stale od dwu lat: kapitalnym zagadnieniem polityki europejskiej jest — uniknąć trzeciej wojny światowej. Należy więc usunąć zarzewie ewentualnego sporu między światem rosyjskim i amerykańskim, którego siedliskiem stałby się mogły Niemcy. Niemcy mają odgrywać pozycję wiążącą nie dzielącą. Rola Francji powinna polegać na tym, by obudzić na ziemi niemieckiej, równie jak na francuskiej, młode i krzepkie siły rewolucyjne, których atrakcyjność byłaby dostatecznie duża. Solidarność europejska Francji i Niemiec mimo ogromu strat, które ponieśliśmy pod przemocą hitlerowską byłaby dowodem wielkości i realizmu. Mieliśmy olbrzymie szanse: nie byliśmy podejrzani, jak wielkie mocarstwa o pragnienie hegemonii, nie braliśmy udziału w atomowej wojnie nerwów, byliśmy ofiarami katastrofy ostatniej wojny. Wszystkie te szanse zostały przegrane.

Pozostaje nam starać się o wywarcie wpływu na sfery rządzące. Aby porzuciły imperialistyczną politykę na tydzień — karykaturę polityki, aby stanęły na stanowisku polityki światowej. Zasadniczą bazą tej perspektywy politycznej jest przyszłość ekonomiczna Niemiec. Odrzuciliśmy niepoważny projekt stworzenia Niemiec rolniczych. Ale między dezindustrializacją a nadmiernym uprzemysłowieniem jest jeszcze wielka skala możliwości. W jakim kierunku uprzemysłowienia powinny pójść Niemcy uwzględniając ogólny plan ekonomiczny świata? W jakie kompleksy powinny być włączone? Zanim mocarstwa nie stworzą statystyk i ostatecznych rozliczeń możemy rzucać tylko puste slogany.

W przeciwieństwie do planu angielskiego pozostawiającego przemysł niemiecki w jego strukturze poprzedniej — projekt francuski oparłby się na umiędzynarodowieniu przemysłu nadreńskiego i Saary — pisze „Esprit" — proponując to samo, godzące w interesy polskie, rozwiązanie dla Śląska stanowiącego dziś część naszych Ziem Odzyskanych. Posłuchajmy jednak dalszych wywodów „Esprit", dotyczących struktury wewnętrznej Niemiec: „Stimmung niemiecki nie przygotowany jest dziś na przyjęcie demokracji pod formą nieokreśloną i zrezygnowaną, którą przynoszą jej niektórzy zwycięzcy. Błąd demokratów zachodnich w 1918 roku polegał na tym, że chcieli oni zrobić Republikę Weimarską własnym debiutem zamiast dać Niemcom szansę w postaci demokratyzacji kadr przemysłu niemieckiego. Jedynie socjalizacja może dziś wszczepić narodowi przemysłowemu obyczaje demokracji, ona jedynie daje dość szeroki zasięg, aby zadowolić nostalgie wytworzone po klęsce. Zagadnienie jedności Niemiec nie istnieje — jedność jest faktem. Teza Bainville'a o rozczłonkowaniu Niemiec mogła mieć sens w XIX wieku. Dziś nie jest na poziomie struktur współczesnych, ani współczesnej psychologii Niemiec.

Trzeba czuwać, aby wobec zagadnienia niemieckiego nie zbudził się duch Monachium, aby nie uśpiono naszej uwagi wobec stałej możliwości zagrożenia, lub żeby znów nie stworzono świętego przymierza francusko-niemieckiego przeciw ZSRR. Po rewolucjach chłopskich Niemcy nie zaznały innej polityki, prócz dyktatury okresowo lepszej lub gorszej. Nie wolno popełniać błędu uważając Niemcy za starą demokrację. Żądamy polityki mądrej, ale nie słabej.

Nie ufamy wychowanej na naszej kulturze inteligencji niemieckiej, która odrzuciła hitleryzm jako stęchliznę socjalistyczną, a dziś wyciąga do nas rękę; nie ufajmy emigrantom, którzy żyją już dziś anachronicznymi wspomnieniami; zwróćmy się ku masom, ku młodzieży".

W tymże numerze (3) „Esprit" znajdujemy artykuł zatytułowany „Młodzież niemiecka" Henri Humblot'a, tytuł jest w pewnej mierze kontynuacją artykułu programowego: próbuje dać obraz powojennej młodzieży niemieckiej, aby ustalić możliwości wpływu pedagogicznego i przyszłej współpracy. Psychologiczna motywacja, którą przy tym posługuje się autor, budzi nierzadko w czytelniku odruchy niechęci, apeluje bowiem do współczucia i wyrozumiałości, które wolelibyśmy usunąć na plan ostatni — dając pierwszeństwo rozwadze i doświadczeniom lat ubiegłych.

Młodzież niemiecka — pisze Humblot — z wyjątkiem niewielu sceptycznych i krytycznych wierzyła w możliwość, a nawet pewność zwycięstwa. Od 8 maja 1945 r. wolni i zdrowi mieli tylko jedną myśl: wyjść z chaosu, odnaleźć rodzinę i spokojniejsze warunki życia. Dziś jeszcze kryją się i błądzą po Niemcach dziesiątki uciekinierów, wagabundów, sierot. Przechodzą przez granice dzielące okupacje, utrzymują kontakty między młodzieżą hitlerowską, spełniają zadania kurierów.

Przeważająca reszta usiłuje sobie zapewnić osobistą przyszłość, zdobyć zawód. Tu na przeszkodzie staje brak profesorów, brak opału w szkołach, niepokój nauczających (przeważnie skompromitowanych politycznie), brak zaufania, jaki odczuwają uczniowie wobec tych ludzi, którzy tak zmienili ton i treść głoszonych ex cathedra zasad.

Na uniwersytetach wciąż jeszcze niewielki jest odsetek kobiet — dziedzictwo okresu hitlerowskiego, który obarczył kobiety grzechem bierności i niezdolnością do oporu.

Okupacja francuska znoszona jest niechętnie z dwu powodów: Francuzi zostali pobici — i powrócili z furgonami zwycięzców; Francuzi zabierają wszystko, nic w zamian nie dając. Opinia niemiecka pochwala przeważnie politykę 13 lat narodowego socjalizmu. Nierzadko obserwuje się żal, aby nie powiedzieć nostalgię, za złotym wiekiem. Młodzież nie chcąc przyjąć odpowiedzialności zbiorowej, uważa się za ofiarę starszego pokolenia i aliantów. Czy nie wykorzystywano jej idealizmu, czy wychowanie nie było jednolite, nie dając jej żadnych możliwości wyboru?

Być może, że młodzież nie odrzuca zdecydowanie myśli, że inna forma rządów może być lepsza, niż ustrój narodowo-socjalityczny. Ale żąda dowodów: pokażcie, że wasz rząd jest lepszy — mówi — metody przez Was używane nie są lepsze, niż poprzednie. Jak można uczyć demokracji, posługując się dyktaturą! Niemcy porównują obecne obozy koncentracyjne w Oświęcimiu i Buchenwaldzie sądząc z „dobrą wiarą", że są one równe dawnym. Młodzież szkolna wykazuje nieznajomość wielu aspektów kultury i życia: nie daje np. wiary, że stowarzyszona młodzież francuska nie bywa uzbrojona, a często nawet umundurowana. Ankieta przeprowadzona w pewnej szkole na temat „kogo uważasz za najgenialniejszego człowieka świata?" (samej myśli przeprowadzenia dziś w Niemczech takiej ankiety trudno nie uważać za obłędną — przyp. red.) — dała pośród 64 odpowiedzi następujące wyniki: 15 — Fryderyk Wielki, 10 — Aleksander Wielki, 8 Cezar, 1 Hitler (12 Goethe, 3 Chrystus).

Ale po okresie ekonomicznym i policyjnym — pisze H. Humblot — przyjdzie okres kultury, okres napływu informacji obiektywnych, kontaktów bezpośrednich, wpływów osobistych, humanistycznych. Teraz trzeba walczyć z przekonaniem, że najszczęśliwsi byli ci, którzy padli w Polsce, kiedy można było jeszcze wierzyć w zwycięstwo Niemiec. Słowo „pokój" przestanie się wówczas odnosić do okresu 1939—45, w przeciwieństwie do okresu powojennego. Trzeba nam zwalczyć żywą dziś nieufność do wszelkiej propagandy i wszelkiego systemu. Kiedy Niemcy zburzyli fasadę zdawna podkopywanej cywilizacji, dano im nowy cel jednoczący — narodowy socjalizm. Dziś przed Niemcami otworzyła się nowa przepaść, którą trzeba zapełnić. Tymczasem brak ludzi zdolnych do takiego wysiłku; elita młodzieży niemieckiej została wykorzystana w systemie hitlerowskim, a dziś stoi i stać musi na uboczu. Część wysiłku musi być dokonana z zewnątrz.

Jeśli Niemcy nie mają być unicestwione — kończy H. Humblot trzeba albo wziąć udział w odnowie, albo dokona się ona bez nas lub, co gorsza, przeciw nam.

Julia Hartwig.

Prace Polskiego Instytutu Socjologicznego
Studium Problemów Chłopskich i Robotniczych

Tom 2

STANISŁAW ŚRENIOWSKI

DZIEJE CHŁOPÓW W POLSCE

Szkic o ustroju społecznym

Z przedmową
Józefa Chałasińskiego

Stron 156 „Czytelnik" 1947

STEFAN OTWINOWSKI

W KRAKOWIE

(list dwudziesty)

W ostatnich tygodniach przewinęło się przez Kraków sporo gości zagranicznych. Publicyści czeskosłowaccy, katoliccy intelektualiści z Francji, filantropi szwecccy, oficjalna wycieczka pisarzy czeskich i słowackich. Trzeba było wysłuchać dużo przemówień, a niektóre wygłosić nawet samemu. Od oficjalnych mów lepiej zbliżają prywatne rozmowy. W rozmowach poznaje się stosowaną psychologię narodu. Przez nią zaś możliwości realizowania planu. Choćby w dziedzinie literatury. Nie trzeba przesadzać — sprawa nie jest najłatwiejsza. Program prawdziwego zbliżenia kulturalnego trzeba obliczać na lata. Myślę o narodzie najbliższym nam językowo: czeskim, słowackim. Wprawdzie mamy tam zadawnionych entuzjastów naszej literatury, ale przecież nie o to chodzi, żeby być czytanym przez entuzjastów.

Literatura czeska wykształciła sobie czytelnika „masowego". Przystosowała się do potrzeb wyobraźni człowieka raczej praktycznego. Obecnie zaczyna go nawet komplikować. Czyni to ze zmysłem znowu praktycznym powoli, ostrożnie. Nasze eksperymenty psychologiczne byłyby tam jeszcze niebardzo strawne. Czescy tłumacze nie chcą liczyć tylko na publiczność wybraną. Chcą pokazać nową literaturę polską wszystkim swoim czytelnikom. Byliby radzi własny dorobek pracy społecznej skonfrontować ze społecznym dziełem sąsiada. Pisarza o zdecydowanym instynkcie socjalnym, racjonaliści mają szanse największe...

Poezji się więcej wybacza. Poeci słowaccy przyznają się do nadrealizmu. Zresztą i czescy działacze kulturalni twierdzą, że lekki dopływ nowego romantyzmu przydałby się narodowej psychologii. „Przesadziliśmy trochę z praktycyzmem". Ale i to zdanie wygłaszają politycznie, praktycznie.

Wiele — nawet jeszcze przed wojną — mówiło się o czeskich eksperymentach teatralnych. Walor ich tkwi w śmiałym konstruktywiźmie. Ale jest to konstruktywizm trochę jednostronny. Wykorzystujący możliwości plastyczne dzieła. Zresztą i w tym względzie więcej się układa, aniżeli wyciąga z materiału literackiego. Dlatego i tutaj także psychologiści nie obiecują sobie za wiele. Czesi jeśli godzą się na artystyczne komplikacje — to tylko świadomie, w sposób techniczny, wypracowany. Nie będą niczego wydobywać. Wszystko chętnie zrobią.

Przyjaźń z Czechami nie będzie współczuciem — ale już jest współpracą.

*
**

Kraków przypomina Czechom Pragę. Ciągle mi o tym mówili. Przejąłem się — i zamiast pisać o Krakowie piszę trochę po czesku.

A tymczasem Kraków jest jednak sobą. Jeszcze jak. Zbliżają się dni Krakowa. I nawet Polewka, wykrzyczawszy za mnie profesorów jagiellońskich, zamierza apoteozować średniowiecze własnym tekstem. Zresztą bardzo sławnym: „Igrce w gród walą". Będzie to widowisko na tle murów Barbakanu... Za nim doszło do pierwszej próby, było trochę średniowiecznej zabawy — bez fikcji.

Nikt w całym Krakowie nie wiedział, gdzie jest klucz od Barbakanu. Poszukiwania są historią samą w sobie — doskonałym prologiem na miarę Kafkowskiej. O mały włos, a i Polewka musiałby rezygnować z historii na korzyść peryferyjnego „procesu"... Na klucz trafiono przypadkiem. Wiedziała o jego schowku tylko jedna osoba w Krakowie, młoda maszynistka w Muzeum Narodowym. Schowany był za dobrze. W starej szkatułce. I do szkatułki potrzebny klucz... I znowu poszukiwania: klucza do klucza. Nic dziwnego, że po trudnym znalezieniu klucz główny otoczono czcią niezwykłą. Dla gwarancji, żeby nigdy nie zginął, orszak komisyjny otwierał woźny muzeum z kluczem w ręku. Otwierać orszak łatwiej, aniżeli starożytny zamek. Woźny nie umiał dać sobie rady z zamkiem. Zrobiło się na Floriańskiej zbiegowisko. Ktoś z tłumu poradził żeby próbować od wewnątrz. Wygimnastykowany dekorator Szeski przesadził mury obronne — ale zamkowi nie dał rady. I znowu przypomniał sobie ktoś inny, że przed laty otwierał bramę dozorca plantowy... Dekorator Stopka, znany w Krakowie humanista, udał się na poszukiwanie plantowego — znalazł go grabiącego trawę około teatru. Dozorca nie chciał rzucić swoich właściwych zajęć. Poszedł interweniować sam Polewka. Chwała Bogu — starczyło. Zanim dozorca ze Stopką i Polewką zjawili się przed murami — dozorczyni pilnująca miejskiego szaletu próbowała rozpędzić podejrzane zbiegowisko: „Ja z wami poigram". Autentyczne. Po kilkudniowym poszukiwaniu klucza i po godzinnych próbach z zamkiem, igrce wwaliły się wreszcie w gród. Tak. Asystowałem i przy tym zapomniałem o Pradze.

*
**

Dni Krakowa staną się zresztą najpoważniejszą demonstracją kulturalnego miasta. Widowiska pod niebem. Średniowieczne misterium i średniowieczna farsa. „Mistrz Pathelin" znowu w adaptacji i świetnym tłumaczeniu Polewki. Są w mieście ludzie oddani całym sercem imprezie. Teatry pokażą swój dorobek. Stadiony sportowe ożyją ruchem nadzwyczajnym. Sport — jak wiadomo, stał tu zawsze najwyżej, zwłaszcza piłka nożna. „Wisła" jest w doskonałej formie, pokonała niedawno Węgrów. Towarzystwa sportowe mają i inne ambicje — właśnie „Wisła" wystąpiła z inicjatywą Wielkiego Konkursu Literackiego. Powieść, opowiadania, tom wierszy o temacie sportowym — dla podniesienia godności sportu. Najwyższe nagrody. Balicki uruchomił jeszcze jedno pismo „Sport i Wczasy". Na łamach tego pisma drukowane będą umyślnie nagrodzone prace. Towarzystwa Sportowe, instytucje społeczne deklarują coraz nowe kwoty na nagrody.

Suma przekroczy wkrótce milion.

Rozmach wcale nie krakowski. Rzeczywiście — myślę — Kraków przypomina Pragę. Miasto najwybitniejszych osiągnięć sportowych i organizacyjnych.

Stefan Otwinowski.

OBRONA KONIECZNA

Min. Minc w swym przemówieniu na konferencji warszawskiej przedstawił konieczność walki ze spekulacją. Nie jestem ekonomistą, mam zaufanie do fachowców i wiem, że mechanizm układu gospodarczego w obecnej chwili jest zjawiskiem niełatwo zrozumiałym dla felietonowego humanisty. Nie zamierzam więc wtargnąć w aspekt gospodarczy zjawiska z terminologią Kandyda, który dostrzega to, co może zobaczyć oko obserwatora: gest, słowo, odruch, kształt — i pokazuje palcem: to jest słuszne i prawdziwe, tamto nieprawdziwe i nieszczere, to — mądre, tamto — ciasne i ciemne.

Przyczyny drożyzny wyłożył nam najwybitniejszy fachowiec w naszym kraju. Cóż ja mogę tu dodać? Czy spekulant po przeczytaniu mojego felietonu przestanie spekulować? Po pierwsze spekulanci nie czytają moich felietonów, po drugie, nie jestem tak naiwny, aby sądzić, że na spekulantów można działać moralnie lub intelektualnie. I może dlatego pragnę dziś o nich pisać. Ponieważ — poza aspektem czysto gospodarczym — są fenomenem psychologii grupy społecznej, która ginie, widząc przed sobą dzisiejszy zysk, nie dostrzegając jutrzejszego końca.

Okupacja przyzwyczaiła ich do wiary, że Polska to kraj trwałej anarchii gospodarczej, w którym każde planowanie musi się zawalić. Plan i wynikające z niego rygory uważają za rodzaj walki z narodem; solą tego narodu są oni, mądrością — oni, tradycją — oni. Odziedziczyli wszystkie kalectwa kapitalizmu, nie będąc w istocie kapitalistami — bo nie zatrudniają i nie produkują. Ale przez to walka z nimi jest trudniejsza — są mniej uchwytni, lotni, nie związani z bazą produkcyjną. Nie są więc kapitalistami, lecz przetrwał w nich typ psychologiczny kapitalisty: oporny wobec planowania, wrogi obowiązkom społecznym, posługujący się hasłem moralnym, religijnym i politycznym, aby osłonić nicość swoich interesów wobec wielkości celów, jakie się przed nimi stawia.

Polska przestała być krajem kapitalistycznym w roku 1945. Ale psychologia kapitalistyczna nie znika odrazu po przeprowadzeniu reform. Reformy dokonały przeobrażeń materialnych: wielki kapitalista z roku 1939-go został zepchnięty na pozycje spekulanta i szabrownika, wyrzucony z procesu produkcji, zdany na partyzanckie kondotierstwo. Reforma nie przemieniła go w pracownika społecznego, ale pozbawiła go bazy wyzysku. Została więc dokonana rzecz pierwsza i najważniejsza.

Nie trzeba się jednak łudzić. Burżuazyjny lump nie zniknie sam z powierzchni życia społecznego. Będzie szukał jak robak najmniejszych szczelin, aby móc jak najdłużej praktykować swą złotą wolność. Nie można liczyć na to, że zetrze go na proch sama praktyka gospodarcza nowej struktury społecznej. Postara się wcisnąć w tryby tej praktyki, byle tylko zahamować ich obrót.

Ale nie poprzestanie na tym, będzie się bronił starym arsenałem środków swej klasy, która zginęła materialnie, lecz zachowała swój byt psychologiczny. Postara się dla siebie o ideologię, o literaturę, o filozofię — będziemy mieli ideologię, literaturę, filozofię spekulantów i szabrowników. Wstąpi do jakiejś partii, aby osłonić się jej programem — będziemy mieli wówczas partię spekulantów i szabrowników. Dopóki zdoła istnieć jako proceder, jako typ społeczny — nie uwolnimy się od niego. Postara się o las, aby rzucać kłody pod nogi idącym naprzód, o kamieniołomy — aby przywiązywać ciężary do ramion tych, którzy chcą budować.

Typ, o którym dziś piszę, zginie dopiero wówczas, gdy zdrowy ogół społeczny pojmie jego szkodliwość i zacznie go tępić solidarnie. Dlatego napisałem ten felieton. Nie aby zbawiać spekulanów, lecz przeciwnie — dla ludzi dobrej woli: by zrozumieli, że są zjawiska, którym nie wolno pobłażać.

Kandyd

PRZEGLĄD PRASY

Ukazanie się setnego numeru „Wsi" jest faktem kulturalnym o doniosłym znaczeniu. Fakt ten świadczy nie tylko o żywotności samego pisma. Będę chyba bliższy prawdy, jeśli powiem, że świadczy on przede wszystkim o żywotności i potrzebie rozpracowywania ideologii, której „Wieś" od dwóch przeszło lat służy.

Cóż to za ideologia? Nie dawno czytelnicy „Tygodnika Powszechnego" mogli się dowiedzieć, że kierujący „Wsią" Jan Aleksander Król posługuje się w swych rozważaniach metodą marksistowską i że „przemyca", jak to sugeruje ks. Piwowarczyk, w swojej pracy marksizm. Zapewne „Wieś" według oceny kół zbliżonych do organu Kurii Książęcometropolitalnej ma taką właśnie opinię. Wystarczy jednak przejrzeć uważnie roczniki „Wsi", żeby zorientować się bez trudu, iż pismo to kontynuuje dawne radykalne tradycje polskiego ruchu ludowego, które w nowym układzie stosunków gospodarczo - społecznych w Polsce powojennej mają wszelkie szanse realizacji. W tym sensie „Wieś" jest jedynym polskim pismem, które prowadzi pionierską politykę rewizjonizmu wobec ideologii ruchu ludowego, dzięki której „w programach lud wiejski od 1848 r. do 1931 r. cofnął się zastraszająco wstecz. W rzeczywistym położeniu społecznym i gospodarczym stoczył się ponownie, tym razem w kapitalistyczną pańszczyznę „hipotecznego wyzucia z ziemi" (z artykułu Króla „Ideologia", „Wieś" Nr 100).

Oczywiście „Wieś" nie jest pismem masowym. Jest raczej przeznaczona dla awangardy młodego, odrodzonego ruchu ludowego. Dlatego też powtarzane niekiedy na łamach tradycjonalistycznej prasy ludowej zarzuty o nieprzystępności pisma są raczej komplementem. Świadczą one, że ruch ludowy odchodzi od łzawego irracjonalizmu, że oparty na przekonaniu o niezmienności struktury społecznej personalizm chłopski został skutecznie wyrugowany przez nowy, choć oparty o dawne radykalne tradycje, postępowy, zgodny z wiedzą o rozwoju form życia społecznego i gospodarczego ruch wiejski.

Radykalne tradycje tego ruchu, którego ideologię wypracowuje dziś „Wieś" wskazuje m. inn. Król w cytowanym już przeze mnie artykule („Ideologia"). Rozmaite przyczyny wpływały na to, że ruch ludowy nie oparł się na tak potężnej bazie teoretycznej, na jakiej oparł się ruch robotniczy. Niewątpliwie emancypację warstw wiejskich utrudniała w wielkiej mierze akcja odrywania mas wiejskich od mas robotniczych, rozbijanie jedności działania robotników i chłopów etc. — fakty, które notujemy na przestrzeni choćby dwudziestolecia naszej niepodległości. Dopiero radykalna zmiana ustroju wsi polskiej, jaka nastąpiła w wyniku przeprowadzonej reformy, pozwoliła ruchowi ludowemu powrócić w jego dawne, postępowe łożysko, na linię tradycji Gromady Grudziąż i „Złotej książeczki" księdza Ściegiennego.

„Wieś" jest tym właśnie pismem, wokół którego zgromadził się aktyw do tych właśnie tradycji nawiązujący. Jest rzeczą oczywistą dla każdego, kto potrafi spojrzeć obiektywnie i bez uprzedzeń wynikających z obrony dawnego stanu posiadania, że szlachetny program przedwojennych „Wici" w nowych warunkach zdecydowanie hamuje rozwój świadomości chłopskiej. Dlatego publicyści „Wsi" od wielu miesięcy prowadzą polemikę ze zwolennikami personalizmu chłopskiego. Jest rzeczą oczywistą, że uparte trzymanie się terminu „kultury ludowej", która powstawała w specyficznych warunkach oddzielenia wsi i warstw chłopskich od reszty narodu, jest dzisiaj czymś anachronicznym. Kultura ludowa musi porzucić marzenia o słomianej strzesze jako ideale estetycznym, musi stać się kulturą narodową — podobnie jak chłop „musi przestać być tylko chłopem", w związku z przekształceniem form wiejskiej gospodarki. „Wieś" od wielu miesięcy taką właśnie kampanię kulturalną prowadzi. Dalej ogromną zasługą „Wsi" była dyskusja o ważnym instrumencie oświaty na wsi, jakim są uniwersytety ludowe. I w tej polemice publicyści „Wsi", a zwłaszcza Król, dowiedli, że program uniwersytetów ludowych, trzymając się uparcie dawnych koncepcji kulturalnych i politycznych, stał się w nowej rzeczywistości programem wstecznym. Tych ważnych punktów wypadowych postępowej ideologii ruchu ludowego znaleźć można we „Wsi" jeszcze więcej. Ograniczyłem się tylko do wymienienia tych, które mają bezpośrednią łączność z działaniem postępowych pracowników kultury w mieście. Podobnie jak gwarancją utrzymania postępu społecznego jest ścisłe współdziałanie warstwy robotniczej i chłopskiej, tak samo gwarancją zwycięstwa humanistycznej ideologii w kulturze jest sojusz postępowych działaczy kulturalnych i społecznych wsi i miasta. Z artykułu programowego Anny Kamieńskiej, zamieszczonego w omawianym przeze mnie setnym numerze pisma wynika, że sojusz taki da się łatwo utrzymać. Obu awangardom działaczy — zarówno miejskim jak i wiejskim — bliska jest jedna i ta sama, decydująca być może sprawa: sprawa stworzenia nowej inteligencji, nowych kadr pracowników kultury i sztuki, nowych kadr technicznych. Te kadry bowiem zadecydują o utrzymaniu i o dalszym rozwoju najcenniejszych naszych tradycji narodowych, poniechanych lub wynaturzających się w rękach warstw, które utraciły hegemonię. Jeśli istniały lub istnieją momenty polemiczne pomiędzy „Wsią" jako organem bliskiego nam i postępowego ruchu ludowego, to dotyczyły one lub dotyczą jedynie fragmentów działania „Wsi". Takim momentem polemicznym jest sprawa literatury. W cytowanym już przeze mnie artykule Anny Kamieńskiej, który stanowi próbę podsumowania treści stu numerów pisma, poświęcono temu zagadnieniu sporo miejsca. Autorka przyznaje, że literatura ta jest „zapóźniona" i że to zapóźnienie jest „widoczniejsze niż zapóźnienie grup inteligenckich pisarzy, którzy nie zdobyli się jeszcze na nowy kształt literatury". Wydaje mi się, że to rozróżnienie pisarzy nie jest słuszne, choć zarzut zapóźnienia w odniesieniu do jednych jak i do drugich jest słuszny i stanowi źródło troski o współczesną literaturę. Jednak nie sądzę, by można było pokonywać to zapóźnienie inaczej niż dążąc do usunięcia podziału na literaturę wiejską i miejską, tak jak dążymy zgodnie do usunięcia podziału pomiędzy wsią i miastem. Czy można odbyć tę drogę szybciej, niż to zamierza Kamieńska? Myślę, że można. Reforma struktury wsi, choć nie gwałtowna, jednak szybka i radykalna, mogłaby tu służyć jako przykład. Pojawienie się elektryczności czy maszyny na wsi nie odbędzie się drogą ewolucji. Myślę, że podobny skok w kulturze jest również rzeczą możliwą. Lansowanie takich form literatury, jak reportaż czy faktomontaż — o czym pisze Kamieńska — nie jest bynajmniej posuwaniem literatury wiejskiej naprzód. Formy te wytworzone przez mieszczańską literaturę postępową były formami przejściowymi, powstałymi wtedy, gdy proza artystyczna nie mogła sobie dać rady z narastającą problematyką sprzeczności ekonomicznych i społecznych. Czy więc dzisiaj literatura wiejska nie powinna przeskoczyć poprzez te formy i, pamiętając o formule „pisarstwa mądrego", włączyć się do literatury narodowej, zacierając na gruncie kulturalnym tradycję odrębności pomiędzy chłopem, robotnikiem i inteligentem? Odrębności tych nie obserwujemy ani w wielkich literaturach Zachodu, ani, co dla nas jest o wiele bardziej znamienne, w literaturach bliskich nam strukturalnie krajów słowiańskich, nie mówiąc już o literaturze radzieckiej, jako literaturze tego kraju, w którym zostało zrealizowane hasło bezklasowego społeczeństwa.

ph.

MIECZYSŁAW JASTRUN
„POEZJE WYBRANE"
zł 460.–
ADAM WAŻYK
„WIERSZE WYBRANE"
zł 280.–
Sprzedają księgarnie.

Koty

Z Francji

„Teatr jest jednym z licznych środków wyrażania opinii. Czy można obywatelowi zabronić publikowania lub wygłaszania publicznie swoich poglądów? W ustroju republikańskim każdy musi mieć prawo wypowiadania swych myśli w jakiejkolwiekbądź formie" pisze w „Le Monde" z 9.V. akademik, Maurice Garçon. Publiczności wolno bić brawo, konkluduje, gdy wyraża swą zgodność z autorem — wolno gwizdać, jeśli się z autorem nie zgadza: to jest jej prawo, które równoważy wolność słowa daną autorowi(!), ale w protestowaniu i wyrażaniu niezadowolenia istnieją pewne granice. Granice etyczne i prawne. Bo w art. 91 rozporządzenia prefekta policji z dn. 16.5.1881 r. powiedziano: „Zabrania się przerywania przedstawień i uniemożliwiania oglądania i słuchania zapowiedzianego widowiska...".

O co chodzi pismu „Le Monde"? O obronę wolnego teatru we Francji (tak zresztą głosi tytuł). Czy nie ma wolnego teatru we Francji? Jest, ale według pisma „Le Monde" ta wolność jest zagrożona. Czym jest zagrożona wolność teatru we Francji? Manifestacjami, jakie odbyły się w teatrze „Variétés." Przeciw czemu manifestowano w teatrze „Variétés"? Przeciw sztuce „Et vive la liberté", której przedmiotem jest wyszydzanie urządzeń demokratycznych i republikańskich, naigrywanie się z bojowników o wolność, chwalba vichystowskich czasów. Kto napisał tę sztukę? Niejaki de Latraz, właściciel kilku pożydowskich posiadłości. Kto manifestował? Byli więźniowie obozu Mauthausen w dzień rocznicy wyzwolenia obozu. Czego chcieli? Zakazu przedstawiania tej sztuki. Co osiągnęli? Swoje aresztowanie. Zgodnie z art. 91 ustawy z 1881 r.

„Le Monde" drży, że żądanie zakazu przedstawiania jawnie faszystowskich sztuk jest ograniczeniem wolności teatru. O okrzykach, które w postaci rad: „Wróćcie do Dachau" padły z kilku miejsc na widowni, „Le Monde" nie wspomina. Te nie są snać tak groźne dla wolności teatru we Francji.

W kilka dni później grupa powracających z jakiegoś zebrania członków RPF urządziła — bez zezwolenia władz — pochód przez miasto. Było ich wielu, przeważnie młodzież. Chodzili maszerowali krokiem i skandowali okrzyki przeciw ustrojowi czwartej republiki. Szli czterokilometrową trasą, którą dnia 1 maja przemierzyło pół miliona robotników, ale szli w przeciwną stronę: Od placu Zgody. Po drodze poturbowali parę osób, które wyrażały swe niezadowolenie. Na czwartym kilometrze, przed placem Republiki rozproszono manifestantów. Nikogo nie aresztowano. Nie było prawnej podstawy i nie było w tym widać groźby dla wolności — już nie teatru, ale Francji.

„Les Lettres Françaises" zastanawiają się w numerze z 9.V. nad zagadnieniem stosunku pisarza do robotnika. „W świetle obecnego kryzysu, który jest związany z warunkami egzystencji robotnika, pisze Claude Morgan, należy się zapytać, dlaczego nasi pisarze nieprzerwanie lekceważą wielką epopeę pracy ludzkiej, która w przeciągu jednego wieku zmieniła oblicze świata... Pisarz nie może dziś pozostać człowiekiem gabinetu, który czeka aż życie przyjdzie do niego. Musi, jak to czynił Balzac i Zola, sam wejść w życie. Pisarz musi zadać sobie trud badania, znalezienia kontaktu za pomocą jakichkolwiek środków z tą masą ludzi, którzy w ciągle nowych i ciągle zmiennych warunkach przetwarzają bogactwa ziemi, musi analizować ich warunki bycia duchowego, społecznego, intelektualnego, definiować ich mentalność, opisywać ich wysiłki... Nie można wyrażać nieskończonej złożoności naszego świata ograniczając się do znajomości jednej, zawsze tej samej, części ludzkości".

Jakżeż inne są zagadnienia literackie, które nurtują „Le Figaro Litteraire". Na jego to łamach pyta Jean Paulhan, czy należy nagradzać dzieła nie zwracając uwagi na osobę pisarza, nawet jeśli był kolaboracjonistą, aby w toku artykułu odpowiedzieć sobie, że oczywiście tak, skoro wkroczyliśmy w okres stabilizacji, okres wolności, która musi objąć także i sztukę.

Przed wojną wychodził w Paryżu znany dziennik „L'Intransigeant". Wychodził i podczas okupacji. Wielbił Petaina, chwalił Lavala i płaszczył się przed przedstawicielami Nowej Europy. Zamieszczał ogłoszenia wielkiego koncernu optycznego braci Lissac, którzy dziś mają w Paryżu dwa wielkie domy i 20 filii, a w czasie Vichy reklamowali się: „Lissac to nie Isaac". Wszystkim pismom cofnięto niedawno 15 proc. przydzielanego papieru. Po raz pierwszy od wyzwolenia wznowiono dziennik kolaboracyjny. 12 maja ukazał się pierwszy numer „L'Intransigeant".

Minęła rocznica zwycięstwa, ale jeszcze widać wszędzie powiewające na wietrze flagi czterech aliantów. W stacjach metra ukończono właśnie zmianę wielkich afiszów: „Rozporządzenie. Paryż 22.3.1942. My, szef państwa francuskiego, marszałek Francji..." Tak to w dwa lata po zwycięstwie znikł wreszcie podpis Petaina. Z afiszów. **mm**

Sprawy wydawnicze

Rozumiem dobrze, że przedsiębiorstwa państwowe i spółdzielcze muszą być rentowne. Zwłaszcza dziś, gdy musimy nasze inwestycje rozsądnie planować i kierować.

Wydaje mi się jednak, że gospodarka naszych spółdzielni wydawniczych zbyt często jest podporządkowana tylko czy przede wszystkim zasadzie opłacalności.

Z niepokojem czytam statystyki zawarte w artykułach Adama Bromberga.

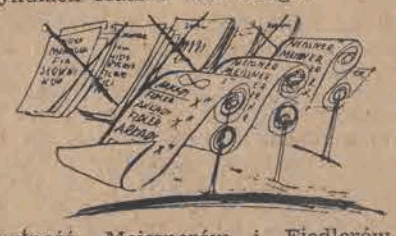

Poczytność Meissnerów i Fiedlerów w przykry sposób zaciążyła na naszej polityce wydawniczej.

Opublikowanie tomu poezyj, tomu prozy krytycznej czy essayistycznej jest coraz trudniejsze. Podobnie jest z klasykami. Ale tu ratuje sprawę przynajmniej biblioteka poetycka „Czytelnika" z tomami Iwaszkiewicza, Jastruna, Ważyka, ratuje sprawę biblioteka klasycznych przekładów „Książki" i ostatnio „Wiedzy". Polską powieść XIX w. nawet prywatni wydawcy drukują dość chętnie.

Najgorzej, zupełnie katastrofalnie wyglądają możliwości publikacyj naukowych z różnych dziedzin humanistyki. Ankieta „Odrodzenia" (W pracowniach pisarzy) przyniosła informacje o arcyważnych pracach. Przypomnę dla przykładu „Monografie słownikowe" Niescha. słownik filozoficzny Zawirskiego, tom historyczno-literacki Wyki.

O rychłym ukazaniu się tych książek nawet nie słychać.

Prace naukowe zalegają w biurach. Pragnąłbym zwrócić uwagę naszych wydawców i odpowiednich czynników państwowych na konieczność natychmiastowego powołania odpowiednio uposażonego wydawnictwa prac z zakresu nauk humanistycznych oraz konieczność wznowienia „Biblioteki Narodowej" tj. dużego zbioru pisarzy staropolskich. To są realne potrzeby kultury ludowej, tego wymaga honor i dobre imię gospodarki spółdzielczej w księgarstwie. **żlk**

Też sociologia

Niedawno otrzymałem do przejrzenia od pewnego studenta Akademii Nauk Politycznych, w Warszawie skrypt dr docenta Henryka Piętki, p.t. „Teoria prawa", część I (socjologia).

We wstępie na str. 2 stwierdza autor, że: „Wszystkie systemy nauk **przyrodniczych są** pozbawione cech normatywnych, gdy celowościowe (teleologiczne) odgrywają olbrzymią rolę jako t. zw. nauki stosowanej stanowiące podstawę studiów **politechnicznych.** Kula ziemska, jako przedmiot badania naukowego, ze względu na różnorodność swej budowy nie może być przedmiotem jednolitej teorii naukowej, **obiektywno-poznawczej.** Można tu mówić o nauce deskrypcyjnej, którą jest geografia oraz nauki historyczne, mianowicie geologia, zaś o nauce subiektywno-stosunkowej może być mowa tylko w związku z geografią gospodarczą."

A więc okazuje się, że nauki przyrodnicze jak np. chemia, fizyka oraz matematyka nie są podstawą kształcenia politechnicznego tj, agronomii, techniki i przemysłu, a wprost przeciwnie teleologia służy jako podstawa dla wszelkich odkryć naukowych. Należałoby zwrócić uwagę na to kolosalne „odkrycie" naszym uczonym, a w pierwszym rzędzie prof. Pieńkowskiemu na możliwości odsłonięcia tajemnicy budowy bomby atomowej, dzięki teleologii, a nie tracono by czasu nadaremnie na badanie jądra atomowego.

Jaki jest punkt widzenia autora na nauki społeczne? Wszelkie teorie, które dotąd usiłowały znaleźć prawa rządzące rozwojem społecznym „są to teorie jednostronne" (str. 12). Do nich zostaje zaliczona nauka Karola Marksa, którą autor nazywa „materializmem ekonomicznym".

> „Proces tworzenia wartości społecznych jest procesem przystosowania społecznego, stanowiącego działanie naturalnej prawidłowości socjologicznej, która posiada filozoficzne oparcie w postaci **prawa wiecznego, czyli odwiecznego planu bożego całego świata"** (tamże).

Nie ma nauki bez metody. Jedyną słuszną metodą jest metoda psychologiczna, zgodnie z którą:

> „Wszelkie zjawiska prawne oraz ich elementy należy uważać za projekcje **wzruszeniowe** naszych przeżyć prawnych. Jedyną rzeczywistością prawną są przeżycia prawne" (str. 9).

I tak prawo nie jest wytworem istniejącego układu stosunków społecznych, nie jest kategorią historyczno-społeczną, nie jest wyrazem woli panującej klasy, jak kiedyś powiedział Marks, ale projekcją wzruszeniową.

Na str. 21 mówi autor:

> „Wojna stanowi zjawisko, powtarzające się w historii świata, ale wskutek tego że ocena tego zjawiska przerzuca się z jednego do drugiego **ośrodka wartościującego,** jest wątpliwym, że kiedyś ludzkość osiągnie **obiektywną trafność** oceny tego kataklizmu".

Nie ulega teraz dla nas żadnej wątpliwości, że Niemcy mordowali ludzi jedynie wskutek tego, że ocena tego zjawiska przerzuciła się im z jednego do drugiego ośrodka wartościującego. I tu leży również przyczyna działań wojennych Anglików w Indiach, Grecji i Amerykan w Chinach itd.

Zresztą wyjaśnienie „porządków świata" (str. 23) może dać tylko Bóg, „który potrafi przepowiedzieć z całą pewnością jaki stan nastąpi po drugim".

Dalej autor ustanawia szereg praw socjologicznych, powołując się bez przerwy na autorytet Petrażyckiego np. na str. 28 pisze:

> „Istnienie wśród warstw wyższych klubów łysych, klubu miłośników kotów, klubu amatorów fotografiki, może być wytłumaczone tylko istnieniem prawa rozwoju partykularnych społeczności".

A jaka szkoda, że doc. Piętka nie odkrył jeszcze prawa rządzącego powstawaniem klubu nudystów, tak rozpowszechnionego w Stanach Zjednoczonych A. P.

Do odkryć należy również twierdzenie, że „walka klas jest patologicznym cofaniem się kultury" (50 str.) choć z drugiej strony spotyka nas pochwała wyzysku i ucisku klasowego, uświęconego jakoby przez Boga:

> „Sprawa zależności ludzkiej, zróżniczkowanie społeczne jest oparte na porządku nadprzyrodzonym, którego człowiek nie zdolny odmienić" (str. 51).

I w tym duchu następuje wyjaśnienie istoty państwa i wszelkich innych instytucji współczesnego społeczeństwa.

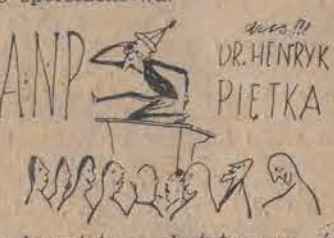

Myślę, że cytaty są dostatecznym świadectwem poziomu wykładów socjologicznych w A. N. P.

bcd

Tragedia emigracji

Z artykułu p. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, naczelnego krytyka londyńskich „Wiadomości", o najnowszej książce Marii Kuncewiczowej p. t. „Zmowa nieobecnych":

„Kuncewiczowa... dochodzi do wniosku, że zarówno dla „nich", w Kraju, jak i dla „nas", na emigracji — czas się po wrześniu zatrzymał. Że rozmijamy się w mroku jak cienie ludzi nieobecnych. Zofia oddaje się w Londynie Henrykowi, myśląc o Aleksandrze, który jest gdzieś w Rosji, Zuzia wstępuje na noc do Adama, bo marzy o Karolu, Karol nie może wziąć Daphne, bo myśli o Zuzi, Kira (już w drugim tomie) oddaje się Funkowi, poświęcając się dla Tadzia, który siedzi w obozie, i dla Marka, który buja po Ameryce."

P. Herling-Grudziński zapomniał ponadto, że Eleonora uległa w Bukareszcie Albinowi, myśląc o Zenonie, który poluje na lwy w Afryce, że Helena spędza noc szału z Augustem, gryząc poduszki na wspomnienie Waldemara, który gra w siatkówkę na Peloponezie, że Stefania poświęca swą cześć dla Ignacego, który nie może jej posiąść, bo tęsknj za Izabellą, a Izabella w Leśnej Podkowie oddaje się Felicjanowi, mówiąc: „Ten Herling-Grudziński to niemożliwy chłopak, pisze paszkwile na znakomite pisarki i udaje niewiniątko".

A wszystko dlatego, proszę obywateli, że czas się zatrzymał.

kbr.

Styl śmiercionośny

Nie wystarczy mieć dobre intuicje. Nie wystarczy poruszać słuszną sprawę. Trzeba osiągnąć jakieś minimum panowania nad stylem.

Niedołęstwo stylistyczne piszącego ośmiesza każde najważniejsze zagadnienie. „Tygodnik Warszawski" ze szczególnym upodobaniem dobiera sobie takich „pisarzy". Posłuchajmy wybranych fragmentów rozważań na temat „upadku moralnego" (nr 21 str. 6): „zachwaszczenie dziedziny seksualno-erotycznej w życiu młodzieży wszystkich obozów i przekonań jest zastraszające.

„Dosyć mijania i okrążeń boczkiem. Trzeba bez wykrętów „byka wziąć za rogi". Najgroźniejszym, a podstawowym objawem degeneracji w omawianej dziedzinie jest jej powszechne lekceważenie, powszechny brak szacunku dla funkcji rozrodczych. Ale pewien procent mniej odpornych moralnie wykracza daleko poza te „niewinne" jeszcze granice i w konsekwencji swego niedołęstwa etycznego i intelektualnego wpada w bezmyślne zaspakajanie instynktu, byle gdzie, byle czym, byle jak. A co znajdują? Niesmak, cynizm z udanego przechodzący szybko w prawdziwy, „katzenjamer" i moralne zmiętoszenie. Szczytem na który mogła się zdobyć współczesność jest: pozytywna ocena funkcji rozrodczych człowieka w totalistycznej maszynie masowego wylęgania gdzie człowiek jest tylko państwowotwórczą gliną."

Taki styl zabija. Jak broń automatyczna.

rdk.

KORESPONDENCJA

Do Redaktora „Kuźnicy"

Wśród naszych zapomnianych postaci znajduje się także poeta Felicjan Faleński, wspominany raczej z tego tytułu, że był zwycięskim rywalem Norwida o rękę Marii Trembickiej. Nie chcę sugerować żadnych sądów, ustalających wartość Faleńskiego, jako artysty. Ale w związku z poroma listami. z zagranicy od młodzieży polskiej, która ociąga się z powrotem do kraju, marnując swoje siły i zdolności, przypomniałem sobie krótki i zwarty wiersz Faleńskiego. Oto on:

W świat możesz z wiatrem iść, mój młody—
I w łodzi życia płynąć z rzeką —
Bo gdy cel drogi twej odwleką
Wstręty i gromkich fal przeszkody,
To od rodzinnej twej zagrody
Kto wie, czy chciałbyś iść daleko.

Z powrotem zato miej zamiecie
Grady i gromy w twarz —
Lecz z myślą, żeś jest **nasz,**
Powracać musisz bowiem przecie
Koniecznie z **błędów** twych po świecie
W domu się znaleźć masz. (Cytuję z pamięci)

Nie wchodząc w rozważania formy, chcę tylko zwrócić uwagę, że wiersz ten ma bogatą problematykę treści (błędy rozumie prawdopodobnie F. dwojako: w sensie błąkania się i w sensie błędu — error).

Listy, które świeżo otrzymałem, sprawiły na mnie deprymujące wrażenie, tymbardziej że pochodzą od młodych osób, które bardzo wysoko cenię, zarówno pod względem kwalifikacji osobistych jak i zawodowych. Jeden pochodzi od mojej dawnej uczennicy, bardzo dzielnej, zdolnej i inteligentnej, która — wychowuje dzieci arabskie w Bethlehem(!)

Drugi od dwudziestodziewięcioletniego wysoko kwalifikowanego nawigatora, który obija bruki Los Angeles.

A dzieci w Polsce także nie brak, dzieci bezdomnych, trudnych i normalnych. A Wybrzeże polskie czeka. Doprawdy, z tego szaleństwa, z tych błędów po świecie czas już wam znaleźć się w domu!

Przyjmij, Redaktorze, wyrazy prawdziwego poważania.

Zygmut Mysłakowski

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZEŃ:
Za 1 mm na 1 szpaltę 40 zł.
D —015611 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.